Nr. 80. Lwów — Piątek dnia 8 Kwietnia. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h, w Niemczech . . . . 3 „ —, w innych Państwach . 4 „ —. Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h, na prowincyi . . . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o narzeczynach, ślubach, weselach, zabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy ucht i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: św. Dyonizego — Wielki Piątek | Jutro: św. Maryi Egip. — Wielka Sobota

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 5 m. 33 | Zachód „ „ 6 m. 33

Długość dnia godzin 13 minut 0 | Przybyło dnia od wczoraj 4 min.

Porozumienie anglo-francuskie.

Przychodzi do skutku zdarzenie ogromnej historycznej i politycznej doniosłości: Anglia i Francya, których interesy oddawna, a powszechnie uważano za najbardziej sprzeczne, za niemożliwe do pogodzenia nietylko w całości, ale nawet w żadnej części, za możliwe tylko do rozcięcia mieczem, — podały sobie ręce nie na chwilę, lecz na stałe, ułożyły się ze sobą co do wszystkich spraw spornych, usunęły je zapewne nie na zawsze — bo cóż jest wiecznego na świecie! — ale z pewnością na długo, i w rezultacie spisały ugodę, którą, wszystko jedno, jak się nazwie: przymierzem, czy konwencyą, bo w każdym razie jest ona czemś bardzo trwałem i jest zarazem nowem w stosunkach międzynarodowych. Ten pakt pokojowy odbył się w chwili, gdy wojna rosyjsko-japońska rzuca pewien cień wątpliwości na europejskie stosunki. Wprawdzie coraz mniej można było przypuszczać, że Anglia i Francya z powodu swych sojuszowych obowiązków względem owych państw wojujących mogą być wciągnięte do walki, ale co do tego nie było pewności; bezwzględnej nie ma i teraz, ale jest zupełna i stanowcza co do tego, że Anglia i Francya dokładać będą największych starań, aby ta wojna do końca pozostała tylko walką Rosyi z Japonią, bez żadnego udziału w niej innych mocarstw.

Lecz będzie jeszcze inne, ważniejsze znaczenie tej ugody. Usunie ona wszelką możliwość zawikłań, dyplomatycznych rozdźwięków, orężnych starć między dwiema największemi potęgami kolonialnemi — usunie nawet możność powstawania nieporozumień, które do niedawna wybuchały między niemi tak łatwo i nieraz bywały tak gwałtowne bez dostatecznie poważnej przyczyny, że tylko świadczyły o ogromie rozdrażnienia po obu stronach. Dość przypomnieć wypadek z Faszodą. Ta nędzna mieścina, zagubiona gdzieś wśród trzęsawisk górnego Nilu, arabska wioszczyna, o której nikt dobrze nie wiedział, gdzie się znajduje, i o której istnieniu dowiedziano się dopiero wtedy, gdy francuski podróżnik pułkownik Marchand stanął w niej pierwej, niż angielska wyprawa: — ta Faszoda, jak później się dowiedziano z przedstawionych parlamentom depesz, groziła wybuchem wojny między najstarszemi mocarstwami zachodniej Europy. Zaiste, nie trzeba lepszego dowodu na to, że między Anglią a Francyą tak dużo nagromadziło się żółci, że dość było najlżejszego potrącenia, aby się ona rozlała.

A oto teraz wszystko się wyrówna — wszystko i wszędzie. Nietylko w Europie, a raczej w europejskiej i mniejszo-azyatyckiej Turcyi, nietylko w Afryce, gdzie Francuzi wyrzekli się wszelkich pretensyi do Egiptu, drogiego im pamięcią boju pod piramidami, kanałem suezkim, posiewem cywilizacyi, a natomiast Anglicy przyznają Francuzom wyłączność wpływów w Marokko, zupełną swobodę porozumienia się co do niego z Hiszpanią, i prawo zagarnięcia pod swe panowanie całej północno-zachodniej Afryki; nietylko dalej owo porozumienie obejmuje rozdział wpływów w Syamie i Chinach, ale nawet usuwa na zawsze dawny spór o prawa rybackie w Nowej Fundlandyi. Układ francusko-angielski — to więcej, niż sojusz dla jakiegoś ściśle określonego, ale przemijającego celu, więcej niż konwencya, wymierzona przeciw komuś jednemu, to jest traktat podziału wpływów i dążności na wszystkich lądach i morzach. Oba państwa podały sobie wzajemnie pełne rogi obfitości — dary ogromne, któremi nie zdoła się nacieszyć, ani ich spożytkować kilka pokoleń. Wpływ tego traktatu sięgnie poprzek i wzdłuż całego świata.

Wszystkie państwa europejskie — z wyjątkiem Niemiec — wszystkie lądowe nie mają powodu do niezadowolenia z tego traktatu. Nic w nim nie może ich niepokoić, albowiem on nie grozi żadnym uznanym już prawom i wpływom. Wprowadza wielką nowość, ale tylko w stosunki kolonialne, bo w nich stawia zgodę anglo-francuską wszędzie, gdzie dotąd panowała niezgoda. Tylko dla Niemiec niewygodny jest ten traktat, a niewygodny pod każdym względem. To młode, a tak nadzwyczaj butne mocarstwo, które lubi okazywać swą siłę brutalnem potrącaniem wszystkich łokciami, jest w polityce kolonialnej dopiero na dorobku; przeżywa okres łapczywego chwytania każdej rzeczy, która źle leży. Na mocy układu anglo-francuskiego Afryka przechodzi pod naczelny wpływ Francyi i Brytanii, szanując jednak nabyte tam prawa i posiadłości innych państw europejskich. Nie odrobią tego wycieczki cesarza Wilhelma II do Vigo w Hiszpanii i do Neapolu we Włoszech: Niemcy muszą poprzestać w Afryce na ziemi... Herrerów z przyległościami.

A w Azyi? Tam czy Japonia zwycięży, czy Rosya, zawsze jedno z tych dwóch mocarstw rozciągnie swój wpływ na okoliczne ziemie i ludy, a dla Niemiec już się nie przedstawi sposobność do rozszerzenia Kiao-Czau, tego ziarna, z którego miały wyrosnąć chińskie Niemcy, czy też niemieckie Chiny; już się po raz wtóry nie zmobilizuje Europa pod wodzą „weltmarszałka“ z ramienia niemieckiego mocarza. Raczej można przewidywać — i to już przewidują niemieccy politycy — że Kiao-Czau, jako kolonizacyjne ziarno germańskie, uschnie, strupieszeje i zniknie. Ta rakieta, podobna do wielu innych rakiet, których tak dużo puszcza nowa polityka niemiecka, zgaśnie i zostawi po sobie tylko smugę lotnego dymu na rzewną pamiątkę dla pyszałkowatych panów z nad Szprewy.

Ale nadewszystko układ anglo-francuski jakiż gorzki zawód przyniósł Niemcom w Europie, w ich stosunku do Francyi! Zrozumiałe są ciężkie westchnienia dzienników niemieckich. Zamiar takiego pokłócenia Francyi z Anglią, aby zapomniała o całym świecie, był po roku 1871-ym ulubioną myślą Bismarka. Dlatego zachęcał republikę do zdobywania kolonii, poradził jej zabrać Tonkin i Anam, aby się wsunęła pod bok angielskim interesom w południowych Chinach; Ferrym i Freycinetem tak obracał, aby wszędzie Brytania znalazła na swej drodze trzecią republikę; nie gniewał się na jej sojusz z Rosyą, bo doskonale wiedział, że carat będzie zawsze wstrzymywał ją od ataku na Niemcy, ale dwukrotnie się przekonawszy (w 1875 i 1878), że mu się nie uda jeszcze raz uderzyć na Francyę, pragnął wplątać ją w najgorsze stosunki z Anglią, zachęcał ją nawet do hazardu w tym kierunku, a sam dawał do zrozumienia, że dla dobrych z nią stosunków gotów jest nawet na rewizyę traktatu frankfurckiego. Tak naprzykład do p. Saint-Villière mówił, że zabór Alzacyi i Lotaryngii był ogromnym błędem, popełnionym nie przez niego, a uznawanym już przez tych, którzy w r. 1871-ym domagali się zaboru. Kto błąd uznaje, ten oczywiście pragnie go odrobić. Tak też Francuzi zrozumieli słowa Bismarka i łudzili się przez chwilę, że on im odbuduje Francyę w jej naturalnych granicach. A Bismark po to jedynie łudził Francuzów, aby oni wmówili w siebie, że mają tylko jednego dziedzicznego wroga — Anglię.

Ta przędza przeżyła Bismarka, a rozpadła się dopiero teraz, gdy stanął układ anglo-francuski. Więc ciężkie westchnienia niemieckie są bardzo usprawiedliwione. Niedorzecznością jest polityka odwetowa, jako polityka oparta na ujemnem uczuciu. Że ona już nie kieruje ani rządem paryskim, ani Francuzami, to naturalne. Ale nie jest niedorzecznością roztropne dążenie do przywrócenia krajowi naturalnej granicy. Wszakże dziś, pomimo silnego uzbrojenia Wogezów, armia niemiecka może w ciągu tygodnia stanąć pod murami Paryża. Jeżeli germanizacyę Wielkopolski usprawiedliwiają Prusacy bliskością Berlina, to z tego samego powodu muszą przewidywać, że Francya nigdy się nie wyrzeknie dążności do przesunięcia swej granicy z Wogezów nad Ren, bo to nie jest kwestya ani odwetu, ani narodowościowa, tylko kwestya bezpieczeństwa państwa. Każde mocarstwo, jeżeli chce niem być, musi mieć jakąś polityczną ideę. Rywalizacya z Anglią już przestała być dla Francyi taką ideą. Walka z katolicyzmem, robota sama przez się marna i wymyślona tylko dlatego, że nic godziwszego, nic bardziej męzkiego i szlachetnego nie ma do czynienia, na długo nie wystarczy. Czyż więc nie jest prawie pewnem, że zbliża się chwila, w której opinia francuska przypomni sobie, że tylko z Niemcami nie są zamknięte rachunki?

A wreszcie jeszcze jedno, — ostatnie, ale nie najmniejsze. Oto, toczy się wojna Rosyi z Japonią. Jakkolwiek ona wypadnie dla mongolsko-chińskiej Azyi: czy odda ją pod rosyjskie, czy pod japońskie wpływy, zawsze dla Europy będzie miała to znaczenie, że carat — jak po wojnie krymskiej — znużony i finansowo wyczerpany, a rozstrojony wewnątrz, będzie musiał w sobie się skupić, być łagodnym, ustępczym, aby nie ściągnąć na się nowej wojennej wichury. Niemcy się spodziewały, że tego następstwem będzie ich ogromna przewaga polityczna w Europie, jako prosty skutek militarnej potęgi i braku wewnętrznych jątrzących kwestyj. Już się im uśmiechała rola politycznego dyktatora; za swą życzliwą dla Rosyi neutralność one jedne w Europie miały otrzymać sowitą nagrodę. A jakżeby wyzyskały swą dyktaturę! Hrabia Bülow mógłby się odzywać o trójprzymierzu z jeszcze większem lekceważeniem, niż to, na jakie sobie pozwolił w roku przeszłym, zmusiłby Holandyę zaprządz się do cesarskiego rydwanu Hohenzollernów, milczące popieranie sułtana zmieniłby na jawne, a już Polaków niechybnie wydałby na zagładę, na pożeranie przez hakatę, jak cezarowie starej Romy, ku uciesze tłumów, oddawali chrześcijan wygłodzonym bestyom. W tem Anglia i Francya podały sobie dłonie — i oto prysnęły niemieckie nadzieje. Osłabnie zbrojna moc francusko-rosyjskiego przymierza, lecz wesprze ją i ogromnie powiększy potęga francusko-angielskiego układu. Nad Europą nie zapanuje pruska etyka, w Berlinie naprawdę zaczną się bać Boga.

Oto polityczne znaczenie anglo-francuskiego układu dla Europy. Nie dziw, że wszyscy się cieszą, bo wszakże prawdę Bismark powiedział, że nikt Prusaków nie lubi.

Co i o czem piszą.

P. Kazimierz Mokłowski w dalszym ciągu swych surowych, ale szczerych i sprawiedliwych krytyk budownictwa lwowskiego, zamieszczonych w *Kuryerze lwowskim*, występuje przeciwko grupie domów zbudowanych przed rokiem w pobliżu kościoła Bernardynów. Kościół ten należy, jak wiadomo, do najpiękniejszych okazów baroku polskiego, więc ci panowie architekci, którzy mieli owe domy zbudować, powinni byli związać je w jedną architektoniczną całość z kościołem Bernardynów i jego dzwonnicą.

Tu nie chodziło — pisze p. Mokłowski — o nawalenie rozmaitych ozdóbek w oknach, nad oknami i pod oknami, rozbicie niespokojne dachów i szczycików, ale zapytanie się sumienne i szczere tego dawnego i dzisiejszego otoczenia placu, jak budować, jak zdobić, aby nietylko nie zepsuć i nie zabić charakteru, ale owszem podnieść go, dopełnić odpowiednikiem architektonicznym.

Zamiast przerzucać berlińskie i wiedeńskie wydawnictwa, mieszczące w sobie okazy ordynarnej mieszczańskiej architektury współczesnej w Niemczech, trzeba było poradzić się zabytków miast polskich, trzeba było z nabożnem w obec przeszłości matejkowskiem uczuciem twórcy spytać się sumienia artystycznego, co najlepiej odpowiada w tem miejscu kościołowi.

Nie chodzi mi o kopiowanie starych budynków, broń Boże, ale każdemu na miły Bóg, który kocha gród lwowski nie uczuciem bezmyślnego lecącego za dziennym zyskiem jedynie kołtuna, ale miłością obywatela, członka dawnej i żywej kultury narodowej, zależy na tem, ażeby mu właśni rodacy nie kalali serca miasta bękartami niemieckiej tandety budowniczej.

Co i jak się buduje w nowych dzielnicach daleko za śródmieściem może być jeszcze do pewnego stopnia religią prywatną dotyczącego architekty, ale to, co obecnie robią niektórzy architekci we Lwowie, w śródmieściu, w sercu starej metropolii lwowskiej, winno być napiętnowane z całą surowością i bezwzględnością dyktowaną przez interes publiczny.

To nie jest, jak to sobie wyobrażają, sprawa prywatna właściciela, architekta i takiego pana z urzędu budowniczego, ale sprawa obchodząca ogół miasta, ba, nawet kraju i całej Polski.

Otóż panowie architekci, którzy z polecenia właścicieli placu zabrali się do roboty, w niezmiernie łatwy, a jednocześnie lekkomyślny sposób pojęli swoje zadanie. Z powodzi wzorków, którymi zalany jest rynek wydawniczy architektoniczny, wyłowili coś, co przypomina trochę niemiecki renesans, podlali go sosem ornamentyki secesyjnej i zrobili w ten sposób trzy ogromne zapełnione po brzegi formami i foremkami pudła. Wszystko to może wyglądać nieźle w nowoczesnych, na zewnętrzny efekt lecących miastach amerykańskich, ale na starym placu Barnardyńskim są policzkiem, hańbą budownictwa polskiego. Nic, żadnego łącznika, żadnej myśli twórczej, wiążącej ogniwem przeszłość i teraźniejszość.

Wbrew wszystkim zasadom projektowano te trzy kloce budowlane w zupełnem oderwaniu od miejsca szczególnego i od tła starego, jak Lwów, i pięknego, a podniosłego, jak jego przeszłość.

Stanowisko to, jakie musi ze mną dzielić myślący architekt polski, ba nawet każdy czujący poczciwie i rozumnie Polak, zwalnia mnie zupełnie od szczegółowej oceny tych barbarzyńskich zlepków.

Bo cóż powiedzieć o tych dziurach dużych, ciężkich, krytych balkonach z niezgrabnymi wspornikami, nałożonych na potwornie niskim parterze w kamienicy na rogu placu Halickiego.

Jeszcze środkowa kamienica z apteką p. Piepesa-Poratyńskiego przynajmniej o tyle ma sens, że dzięki wąskiemu frontowi cała może wybiedz w szczyt z niemieckiego renesansu wzięty. Tu przynajmniej p. Kovats wyrównał tem wady, wynikające z pakowania barokowych ślimacznic i secesyjnej ornamentyki do wczesno renesansowych niemieckich form.

Ta kamienica natomiast, zalegająca połać, do kościoła i klasztoru zwróconą, jest tak potwornie przeładowaną formami bez znamienia i charakteru, że poprostu „szkoda czasu“ na tworzenie, a „atłasu“ pieniężnego, który wydał właściciel na całą budowę.

Cóż też jest bowiem za sens kłaść małe szczyty niemiecko-renesansowe, przyczepione u wierzchu ogromnego bloku? Dziś sami architekci niemieccy widzą, że niemiecki renesans wyrosły z ciasnych uliczek i wąskich domów, nie nadaje się do nowoczesnej ogromnej szerokiej fasady. Taka fasada wymagałaby bowiem takich potężnych szczytów o szeregu pięter, jakie widnieją na niektórych zamkach niemieckich, a na coby się dziś ze względu na koszta żaden właściciel czynszowego domu nie zgodził.

Jeszcze więc, jak powiadam, wąskie czoło, jakie ma kamienica z apteką, do pewnego stopnia uniewinnia architekta, który ją w całości w szczyt przeprowadził, ale te nalepione attyki na ogromne pudła w dwóch innych kamienicach są zupełnie bez sensu.

Powiadają mi niektórzy, że budynki te są tak marne, iż nie warto o nich pisać.

Za pozwoleniem, gdyby te budynki były rysowane lub malowane, i wisiały w prywatnym gabinecie twórcy-architekta, to niech tam, nic mnie to obchodzi.

Ale to wszystko szpeci i zanieczyszcza w realnej postaci stary ukochany gród, a w takim razie ustaje wszelka pobłażliwość i względność.

Powiadają, że autorem narożnej kamienicy od placu Halickiego jest budowniczy Boublik z Sadłowskim, środkową z apteką projektował prof. Kovats, narożną olbrzymią skrzynię, podziurawioną i ozdóbkami popstrzoną, prof. Sadłowski. Nie chce mi się jednak w to wierzyć, by tak zdolny i na dobrych wzorach wykształcony architekt, jak p. Sadłowski, mógł tak uledz gminnym gustom i tworzyć taką rzecz... na placu Bernardyńskim.

Przypuszczam więc, że „inni szatani byli tam czynni“ i że trzebaby karać „rękę, nie ślepy miecz“.

Z Kairu.

Ostatni wieczór na okręcie. Jutro przed samym wschodem słońca będziemy w Aleksandryi. Jest prześliczna księżycowa noc — morze całe w blaskach. Śród ciemnych fal przewijają się smugi światła, i zdaleka wygląda to tak jakby po powierzchni wody płynęły srebrne strumienie.

Niebo się wypogodziło. O zachodzie było purpurowe, teraz skrzy się i mieni od gwiazd. Okręt płynie tak równo, że nie czuć prawie wcale kołysania. Czasami wiatr powieje, ciepły, południowy wiatr, który dotyka twarzy, jak oddech ukochanej kobiety.

Mimowoli pochyla się głowę i przymyka oczy. Słychać jak fale z cichym szumem toczą się aż pod sam statek, jak potem z krótkim metalowym pluskiem rozbryzgują się o jego ściany i znowu uciekają szumiąc. I tak przez cały dzień, przez całą noc, przez cały dzień, przez całą noc... wciąż... wciąż... Do wtóru gra im rytmiczny łoskot machiny, która nie milknie ani na chwilę.

Coś dziwnego ma w sobie ta muzyka. Niby to jednostajna, a można jej się przysłuchiwać całemi godzinami. I w takt jej zaczyna się myśleć. Później myśli się plączą, jak fale, i wszystko staje się snem. Niewyraźnie zamglone obrazy przesuwają się przed oczyma.

Trudno wypowiedzieć w słowach to uczucie. Jest nieuchwytne. Podobnego może doznaje się przed zaśnięciem po wielkiem zmęczeniu, albo po długiej i ciężkiej chorobie. Tak samo półświadomie przyjmuje się wrażenia. I tak samo jak po chorobie skróś wszystkie myśli prześwieca nadzieja, że oto teraz coś się na nowo zacznie.

... Że się coś zacznie. I chciałoby się przymknąwszy oczy, płynąć tak długo, długo, miesiące, lata całe... I niechby to morze tak wciąż szumiało dookoła, i ten ciepły wiatr raz po raz dotykał pieszczotliwie twarzy. Wracają dziecięce marzenia, dziecięce myśli roją się po głowie; że jest na końcu świata tajemnicza zaczarowana wyspa, gdzie wiecznie słońce świeci, i że do jej brzegów, okrytych kwiatami, zawinie okręt kiedyś, w ciche, majowe rano.

* * *

Na ziemię egipską powinnoby się wstępować jak do świątyni, z uroczystem milczeniem na ustach.

Ale tak nie jest i najczęściej wita się ją słowami, których tu powtórzyć nie mogę.

Bo wysiadłszy na brzeg w Aleksandryi, przyjezdny nie wie w pierwszej chwili, co się z nim stało. Nie wie: czy przyjechał, czy zwaryował? czy jest sobą, czy swoim pakunkiem. W mgnieniu oka otacza go tłum różnobarwnych postaci, jeden portyer ciągnie go za jedną rękę do jednego hotelu, drugi za drugą do drugiego, jeden Arab chce mu buty czyścić, drugi oprowadzać po mieście, trzeci częstuje go

---

24)

Szczęście rodzinne

Napisał
Leon hr. Tołstoj.
Tłómaczenie z rosyjskiego

(Dokończenie).

— Słuchaj — zaczęłam, kładąc rękę na jego ramieniu — słuchaj, czemuś mi nigdy nie mówił, żebym tak żyła, jak ty chciałeś? Czemu mi dałeś swobodę, z której nie umiałam skorzystać? Czemu przestałeś mnie strofować? Gdybyś był chciał, postępowałabym inaczej i do tegoby nie przyszło. — W moim głosie brzmiał wyrzut.

— Do czegoby nie przyszło? — zapytał, patrząc na mnie ze zdziwieniem. — I tak nic się złego nie stało. Wszystko idzie dobrze, bardzo dobrze — dodał z uśmiechem.

— Czyż on mnie nie rozumie, albo co gorzej, nie chce rozumieć — pomyślałam — i łzy mi napłynęły do oczu.

— Nie byłoby tego, że chociaż nie jestem winną wobec ciebie, karzesz mnie swą obojętnością i nawet pogardą! — zawołałam gwałtownie. — Nie byłoby tego, że bez żadnej winy pozbawiłeś mnie wszystkiego, co mi było tak drogiem!

— Co ci jest? — rzekł, jakby nie rozumiejąc do czego zmierzam.

— Pozwól mi dokończyć!... Odjąłeś mi swoją miłość, zaufanie, szacunek nawet. Pozwól, że wypowiem wszystko, co mnie oddawna dręczy, powtórzyłam znowu. — Czyż jestem winna, że nie znałam życia, a tyś mnie rzucił na los szczęścia? Czyż jestem winna, że teraz, gdy je poznałam i już od roku męczę się, chcąc się zbliżyć do ciebie, ty mnie odtrącasz, jakbyś nie rozumiał, o co mi chodzi, i robisz to w taki sposób, że cię nawet obwinić nie mogę za to, że jestem nieszczęśliwa? Tak, ty chcesz mnie wtrącić znowu w to życie, które podkopało nasze szczęście!

— Kiedyż ja ci okazywałem wstręt i obojętność? — rzekł ze szczerem zdziwieniem i przerażeniem.

— Wszak nie dalej, niż wczoraj, mówiłeś i ciągle to powtarzasz, że nie wytrzymam tutaj, że musimy na zimę jechać do Petersburga — ciągnęłam dalej. — Zamiast mnie podtrzymać, unikasz wszelkiej szczerości, każdego cieplejszego słowa. A jeżeli zupełnie upadnę, będziesz się może cieszył i wyrzucał mi mój upadek.

— Nie kończ — przerwał mi chłodno i surowo. — To co mówisz, dowodzi, że jesteś uprzedzoną względem mnie, że mnie nie...

— Że ja cię nie kocham? Mów, mów — zawołałam ze łzami i zakryłam twarz chustką.

Więc tak mnie zrozumiał — myślałam. Umarła, umarła już nasza dawna miłość, — mówił mi jakiś głos wewnętrzny serca mego. Czuł się doknięty tem, com mu powiedziała, i mówił głosem chłodnym i spokojnym:

— Nie wiem co mi zarzucasz. Jeżeli to, że cię nie kocham tak, jak dawniej...

— Nie kochasz — powtórzyłam i łzy gorzkie polały mi się z oczu.

— To wina czasu, nie nasza. Każda chwila życia ma swoje uczucie odpowiednie. Zresztą, jeżeli już tego wymagasz koniecznie, to ci powiem całą prawdę. Kiedym cię poznał, nocami nie spałem, myśląc o tobie, miłość ta rosła i kwitła w mem sercu. Potem w Petersburgu i zagranicą przeżywałem okropne noce, niszcząc i rozbijając tę miłość, bo mnie dręczyła. Nie zabiłem jej, ale odjąłem z niej to, co mnie gnębiło, to też się uspokoiłem i teraz kocham cię, lecz zupełnie inną miłością.

— Ty to miłością nazywasz, co dla mnie jest męczarnią — zawołałam. — Czemu pozwoliłeś mi żyć tem życiem zgubnem?

— Nie obwiniaj mnie, lecz świat, tak ci miły.

— Czemu nie użyłeś swojej powagi nademną? Byłoby mi daleko lżej, niż żyć bez tego, co było mojem szczęściem.

Rozpłakałam się na dobre.

W chwili tej Katia z Sonią całe przemokłe i wesołe weszły z głośnym śmiechem na werandę, ale ujrzawszy nas, oddaliły się zaraz.

Długo milczeliśmy po ich odejściu. Ja wypłakałam wszystkie łzy i było mi lżej. Obejrzałam się na niego. Siedział z twarzą podpartą na dłoni i chciał coś odpowiedzieć na moje spojrzenie, ale tylko westchnął głęboko.

Podeszłam do niego i odjęłam mu rękę od czoła.

— Tak — rzekł, jakby dalej snuł myśl swą: — my wszyscy, a szczególniej wy, kobiety, musicie same przeżyć pierwszą burzę młodości, żeby rozpocząć życie, bo innym wierzyć nie chcecie. Tyś wówczas nie starła jeszcze tego miłego puszku, więc musiałem ci się dać wyburzyć, bo czułem, że nie mogę cię krępować, bo ja sam wyszumiałem już oddawna.

— Więc czemuż, jeśli mnie kochasz, pozwalałeś mi kosztować gorzkich owoców.

— Czemu? bo nie wierzyłabyś mnie, musiałaś ich sama skosztować. I.... skosztowałaś.

— Tyś dużo rozumował, bardzo dużo — odparłam — ale za mało kochał.

— To zarzut wielki i niesłuszny! — zawołał, wstając nagle i zaczynając chodzić po tarasie. — Prawda, winien jestem, winien — rzekł, zatrzymując się przedemną — bo albo nie powinienem był sobie pozwolić na tę miłość, albo trzeba było inaczej cię kochać.

— Zapomnijmy o wszystkiem! — rzekłam nieśmiało.

— Nie, tego co przeszło, powrócić nie można! — Głos mu zmiękł, gdy to mówił.

— Wszystko już wróciło — rzekłam, kładąc mu rękę na ramieniu.

Wziął moją rękę i uścisnął ją.

— Kłamię, mówiąc, że mi nie żal przeszłości; żal mi jej i bardzo, teraz jeszcze ją opłakuję, ale ona już umarła, nie odrodzi się nigdy, już się wypaliła, nie ma w niej ani siły, ani żywości, zostało tylko wspomnienie i wdzięczność, ale...

— Nie mów tak! — przerwałam. — Wszystko może jeszcze powrócić. Wszak prawda? — spytałam, patrząc mu w oczy, ale oczy te były jasne i spokojne.

Uczułam, że to, o co go proszę, jest niemożliwem.

Uśmiechnął się łagodnie i spokojnie.

— Jakaś ty jeszcze młoda, a jaki ja stary — rzekł. — We mnie już nie ma tych zapałów, których ty łakniesz. Po co się łudzić — dodał z tym samym uśmiechem.

Milczałam, ale w duszy robiło mi się pogodniej.

— Nie powtarzajmy życia! — dodał. — Nie oszukujmy się. Dawne niepokoje, wzruszenia już minęły, dzięki Bogu! Nie mamy już czego szukać, ani czekać; na naszą szalę spłynęło już dosyć szczęścia. Teraz musimy ustąpić — ot komu — rzekł, ukazując na Wanię, którego piastunka trzymała na ręku. — Tak, moja najdroższa! — zakończył, całując mnie w głowę. A całował mnie nie kochanek, lecz stary przyjaciel.

Z ogrodu dolatywał coraz wonniejszy i świeższy powiew nocy, na niebie zapalały się nowe gwiazdy. Spojrzałam na męża i doznałam ulgi, jak gdyby mi wyrwano ten straszny nerw moralny, który mi tyle cierpienia sprawiał.

Zrozumiałam, że dawne uczucia tak samo, jak przeszłość, minęły bezpowrotnie i przywołać ich nietylko nie można, ale i nie warto. I czyż te dawne czasy były istotnie szczęśliwe?

— Chodźmy już na herbatę! — rzekł mój mąż i poszliśmy do jadalnego pokoju. We drzwiach spotkała mnie znowu niańka z Wanią. Wzięłam chłopca na ręce, otuliłam nagie nóżki i pocałowałam go tkliwie. Wyciągnął rączęta, jakby przez sen, otworzył szeroko mętne oczki, jakby sobie coś przypominał i nagle w tych oczkach błysnęła jakaś myśl, a pulchne usteczka ułożyły się do uśmiechu.

— Mój mały — szepnęłam, przyciskając go do piersi.

I zaczęłam całować nagie rączki, nóżki i ledwie zaczynającą opierzać się główkę. Mąż zbliżył się do mnie.

— Iwan Siergiejewicz — zawołał mąż, uderzając go palcem po policzku. Zakryłam chłopca. Nikt, oprócz mnie, nie powinien mu się przyglądać. Spojrzałam na męża i po raz pierwszy oddawna już patrzałam w jego oczy z radością i spokojem.

Dnia tego skończył się mój romans z mężem. Dawna miłość zmieniła się w drogie wspomnienie, a nowe uczucie i przywiązanie do dzieci i ojca tych dzieci stało się podwaliną życia nowego, pełnego nowych uciech, którymi żyję do tej chwili...

K O N I E C.

zapałkami, czwarty od razu na wstępie zaprasza na *danse du ventre*, a wszyscy krzyczą w niebogłosy, kłócą się i zapychają nawzajem w oślepiającym dyabelskim *cake walk'u*.

Wydostać się z tego mrowiska usłużnych dłoni nie jest tak łatwo. Przemawia się po francusku, po angielsku, po włosku; w końcu widząc, że to nie pomoże, zaczyna się wymyślać po polsku,

I odtąd powtarza się to ciągle. Po kilku dniach pobytu w Egipcie zaczyna się już wierzyć, że gdyby uciec na sam środek Sahary, to i tam jeszcze wyrósłby z pod ziemi tłum piskliwych Arabów, i wszyscy rzuciliby się na człowieka, ofiarowując mu wszystko, co tylko sobie wyobrazić można.

W pierwszych dniach to bawi. Wyjmuje się małe piastry z kieszeni i uszczęśliwia potomstwo Faraonów, które dziękuje we wszystkich językach świata, przykładając utatuowane ręce do czoła: *Thank you very much, my gentleman.* Masz piastra, mały dyable!... Później zaczyna to nudzić i niecierpliwić. Wreszcie po tygodniu ta wiecznie hałaśliwa eskorta staje się już nieznośną. Czasami chciałoby się nawet strzelać do tych ciemnych, zgrabnych jak iskry chłopaków z dyamentowemi oczyma. Tylko, że długo gniewać się na nich nie można, ani na dużych, ani na małych. Przy wszystkiem, przy całej swojej bezczelności, natręctwie i zuchwalstwie, mają oni ten dziko-dziecięcy wdzięk, który w końcu rozbraja. I przyzwyczajamy się do nich. Przestajemy zwracać na nich uwagę, uważamy za coś, co jest niezbędne, jak u nas roje much w lipcu. Zresztą, mój Boże, wielka rzecz, że tam brzęczą nad uchem, skoro jest za to tyle prawdziwych cudów!

Patrzeć, patrzeć i patrzeć. Jak tu szybko schodzą dni nad niczem! Całemi godzinami można siedzieć przy stoliku przed jaką kawiarnią i nie nudzić się wcale. Dookoła ruch, gwar, ścisk, wszystkie narodowości świata przesuwają się przed oczyma w tęczowym pochodzie, słychać wszystkie języki, widać wszystkie typy. Obok murzyna z wydętemi wargami, który przystroił się w jasne palto, słomkowy kapelusz i kroczy, dumny ze swojej piękności, kościsty lord angielski, obok białego beduina, nawpół nagi czarny nubijczyk, obok derwisza w zielonym turbanie i długiej jedwabnej koszuli, kraciasty żołnierz szkocki, obok biblijnego żyda z siwą po pas brodą, zeuropeizowany Arab z monoklem w oku i w czerwonym fezie na głowie. I wszystko to płynie i płynie i mieni się w słońcu, jak rzeka o kolorowych falach.

Z ludzkim gwarem plączą się dźwięki muzyki. Co kilkanaście kroków koncert. To fortepian, dalej para skrzypków, mandolinista, śpiewak, śpiewaczka, i tak bez końca.

Gdzie spojrzeć, nowa rozrywka dla oczu. Środkiem ulicy ciągnie nieprzerwany szereg powozów. Co za kontrasty: pomiędzy tramwajem elektrycznym a lśniącym automobilem, para jucznych wielbłądów, za eleganckim ekscentrycznym kabem, wózek dwukołowy przedhistorycznego wzoru. W pierwszych dniach, póki oczy nie nawykną jeszcze do tej maskarady wszystkich części świata, zdaje się czasami, że to karnawał uliczny w jakiemś mieście włoskiem. Co chwila co innego pochłania uwagę. Oto środkiem ulicy pędzi dwóch laufrów. Biegną i krzyczą jak opętani. Nogi mają do kolan obnażone, ubranie z białej materyi, wyszywanej złotemi nićmi. W ślad za nimi szybko przemknęła kareta. Przez okna można było dojrzeć w przelocie cztery twarze kobiece, okryte białemi welonami. Mignęły jakieś krucze włosy, para wielkich promienistych oczu i wszystko znikło. Czarna ściana powozu, za nią tuman kurzu...

— Jaka śliczna!... i pomyśleć, że taki bestya Arab...

Ale nawet pomyśleć nie można, bo już jakiś nowy przekupień stoi nad głową.

— *Ma fin!*

Po polsku to znaczy: — Odejdź! nic nie dostaniesz.

— *Ma fin!* — powtarzam gniewnym głosem.

Zdaje się wyjść, ale to nie odejdzie. Ale on w tej samej chwili z najprzyjaźniejszym uśmiechem, jaki wymarzyć można, podsuwa znowu przed oczy swój towar:

— *Very old.*

Jest to nowiutki skarabeusz, wczoraj może zrobiony.

Dookoła stolika już się tworzy gromadka Arabów.

Ten i ów zaczyna doradzać:

— *Très joli, monsieur prince, antique, prenez-la, monsieur prince.*

— *Kaufen sie das, Herr Baron, das ist nicht teuer...*

— Ale czy to prawdziwe?

Ze wszystkich piersi wyrywa się jednogłośny okrzyk. Ma on wyrażać i podziw i współczucie dla barbarzyńcy, który od dwóch minut, patrząc już na tego skarabeusza, nie umiał jeszcze ocenić jego starożytności.

— A ile kosztuje?

— Dwadzieścia pięć franków.

— *Twenty five. Vingt cinq. It is not much...* *Prenez, monsieur prince!...*

— Pół franka.

Wszyscy uśmiechają się z politowaniem. Dwa piastry za takiego starożytnego skarabeusza! Potem znudzona już targiem eskorta, powoli się rozchodzi; zostaje sam przekupień. I choć się już na niego ani na jego skarabeusza nie patrzy, on wciąż zachwala jego zalety, przysięga, że piękniejszego w całym Egipcie nie znajdzie, że oddaje go tylko za połowę ceny, za dziesięć franków, wreszcie, wypowiedziawszy jednym tchem ze dwa tysiące wyrazów, kładzie talizman na stole.

— *Prenez.*

— Ile chcesz?

— Niech będzie pół franka.

Śmiech, żarty, zadowolony odchodzi.

Opróżnione miejsce w tej chwili zajmuje inny. Broń, szale, karty pocztowe, sztuki z małpami; przysuwa się wreszcie pięcioletni dzieciak, czarny i brudny, niewiadomo czy czarniejszy czy bardziej brudny, i kawałek złamanego ołówka, który gdzieś na ulicy znalazł.

— Pół piastra.. — powiada.

I znowu to samo. Ludzki tłum przewija się jak rzeka o kolorowych falach, a nad nim świeci bajeczne, złote słońce. Tu w tej chwili, a co za rozkosz dla oczu!

Patrzeć, patrzeć i patrzeć. Przy czarnej kawie i zaczarowanych egipskich papierosach godziny schodzą jak marzenia. U nas w tej chwili może śnieg pada i topnieje na bruku, pokrywając ulice gęstem, lepkiem błotem. Ludzie ślizgają się po trotuarach, skurczeni, zmarznięci, kryjąc nosy w kołnierze od futer — a tu lato — słońce jasno świeci, na ulicy siedzi się jak w teatrze, i całe godziny możnaby tak przesiedzieć. Słodkie rozleniwienie ogarnia powoli ciało; człowiek żałuje, że się sam Arabem nie urodził.

Przed zachodem słońca corso na wyspie nilowej. Do mostu, którego strzegą dwa olbrzymie lwy z bronzu, idzie się ulicami, gdzie już i ruchu mniej i ciszej. Po obu stronach wille bogatych ludzi, tu i ówdzie między nimi jakiś zaciszny hotel. Z poza murów i krat ogrodowych zwieszają się rozłożyste kiście palm.

Tłoku tu niema, idzie się powoli. Czasami trzeba ominąć Araba, który rozłożył się na chodniku pod murem i śpi błogosławionym snem, przez Allacha nań zesłanym.

Tą drogą ciągnie „cały Kair“ — wszyscy ci ludzie, którzy tu przyjechali, uciekając przed zimnem, mgłami i słotą swej ojczyzny. Oni to tworzą sezon — czwarte żniwo egipskie po trzech pierwszych, jakie kraj zawdzięcza wylewom swojej świętej rzeki.

I oni wnoszą tu ten dziwny ferment, który sprawia, że Kair jest jednocześnie i arabskiem miastem, i pierwszorzędnem europejskiem. W dzielnicach, gdzie się życie europejskie koncentruje, ma wspaniałe wille, hotele i magazyny, jakichby mu Paryż, Wiedeń i Berlin mogły pozazdrościć. Na każdym kroku uderza niezwykłe bogactwo i niezwykły przepych. I ponieważ dzielnicom tym charakter nadają ludzie, którzy przyjechali tu dla przyjemności, ponieważ wszystko jest rozrywkom ich podporządkowane, a więc cała ta część miasta ma zawsze wygląd odświętny. Pomimo olbrzymiego ruchu, jaki w niej panuje, nigdzie nie czuć szarej, codziennej troski, ani żmudnej walki o byt. Zdaje się, że się jest w jakimś szczęśliwym, zaczarowanym kraju, w którym jedynem zajęciem ludzkiem jest zabawa. A jeśli środkiem ulicy przesunie się objuczony wielbłąd, albo zastąpi drogę ślepy arabski żebrak, to obrazy te nie kojarzą się w umyśle z pojęciami nędzy i pracy. Uważa się je za naturalne akcesorya wschodniej dekoracyi, która z niepokalanie czystem niebem, smukłemi palmami i kolorową biedą ludzką stanowi tło dzielnicy.

A ponieważ sami Arabi mają tę pierwotną radość życia, która nie pozwala im długo myśleć o troskach, ponieważ wszystko ich cieszy i bawi, ponieważ zawsze się śmieją, zawsze są weseli — więc to podtrzymuje złudzenie.

Tak się przedstawia świat z hotelowych tarasów. Zupełnie błędnie. I dlatego tak miło tu dni schodzą... *(K. War.)*

Zuchwały gracz.

Jak świetny meteor, zajaśniała w ciągu ostatnich miesięcy na firmamencie finansowym postać zuchwałego, a przytem szczęśliwego gracza giełdowego Daniela Sully'ego, którego szalona spekulacya w bawełnie wywołała chwilowy przewrót w stosunkach produkcyi wyrobów bawełnianych na obu półkulach świata — i równie szybko, jak wzbił się w górę, pogrążył się ten meteor w otchłań nicości. Przed paru miesiącami jeszcze zwany królem bawełnianym, posiadacz fortuny, obliczanej na kilkadziesiąt milionów dolarów, jest dziś Sully znów niczem... bankrutem, zmuszonym niemal szukać zarobku.

Głośny profesor uniwersytetu w Turynie, Cezar Lombroso, napisał właśnie o Sullym i o jego operacyach giełdowych zajmujące studyum psychologiczne, w którym dochodzi do konkluzyi, że wyłącznym powodem, dla którego operacye Sully'ego zakończyły się katastrofą finansową, było to, iż nie miał on dość siły woli, aby w porę zaprzestać gry, lecz grał za długo, przeciągnął strunę spekulacyi, aż w końcu ona urwała się. Jestto zresztą zwykły los niemal wszystkich szulerów.

Kupczyk z zawodu, był Daniel Sully jeszcze przed czterema laty subjektem w jednym z magazynów nowojorskich i już wtedy zaczął się puszczać na maleńkie operacyjki giełdowe. Zawód spekulanta na giełdzie przypadł mu lepiej do smaku niż ślęczenie od rana do nocy za ladą sklepową, to też w końcu porzucił zupełnie kupiectwo, a poświęcił się giełdzie. Jako człowiek ogromnie inteligentny, wpadł Sully w roku ubiegłym na myśl, że na spekulacyi w bawełnie można dorobić się wielkiego majątku, a utwierdzały go w tem przekonaniu następujące okoliczności, które ostatecznie znane były wszystkim, ale z których nikt przed nim nie umiał wyciągnąć praktycznych konkluzyi: Przedewszystkiem wiadomem było powszechnie, że zeszłoroczny zbiór bawełny w Ameryce wypadnie słabo. Wiadomem było także i to, że ostatnimi czasy powstało zarówno w Ameryce jak i w Europie mnóstwo nowych fabryk wyrobów bawełnianych, wobec czego wykombinował Sully z matematyczną niemal pewnością, że te ilości bawełny, jakie pojawią się na targu, nie wystarczą na pokrycie jej zapotrzebowania, tem bardziej, że fabryk przybyło, a obszar ziemi, wziętej pod uprawę bawełny, wcale się nie zwiększył i że wobec tego cena surowej bawełny musi bardzo znacznie się podnieść.

Zapewniwszy sobie kredyt nieograniczony u dwóch wielkich bankierów, mających zaufanie do jego zdolności, zaczął tedy Sully skupować niemal wszystką bawełnę, jaka pojawiła się na rynku nowojorskim i kupował ją bez przerwy przez kilka miesięcy. Rachuba jego okazała się trafną. W krótkim czasie cena bawełny podniosła się o 50%, a potem dalej szła w górę, aż w jesieni roku ubiegłego podwoiła się jej cena. Gdyby w owym czasie Sully zaprzestał dalszej spekulacyi i wysprzedał nagromadzone zapasy, byłby, jak obliczają powszechnie, wycofał się z interesu z majątkiem 70 milionów dolarów, byłby pozostał na zawsze „królem bawełnianym“, który to przydomek nadano mu, gdy znajdował się u zenitu swego szczęścia. Wszelako, opanowany jakimś niepojętym obłędem, myślał Sully, że już pozostanie na zawsze nieograniczonym panem targu bawełnianego i że tylko od niego zależeć będzie oznaczanie cen bawełny. To też uparł się i nie chciał sprzedawać nawet wtedy, gdy cena bawełny była o 200% wyższą od tej ceny, jaką płacono wówczas, gdy rozpoczynał swą spekulacyę, co więcej, nietylko nie sprzedawał, ale skupował jeszcze nowe zapasy po tych bajecznie drogich cenach.

Zaślepiony szczęściem nie liczył się Sully jednakże z jedną okolicznością, a mianowicie z tą, że jakkolwiek bawełna należy niemal do najniezbędniejszych artykułów codziennego życia, wszelako nie jest znów tego rodzaju artykułem, jak chleb lub mięso, bez których człowiek nawet dnia jednego obejść się nie może, lecz, że w ostatecznym razie ci, którzy potrzebują artykułów bawełnianych, mogą i na kilka miesięcy odłożyć ich zakupno. A tak właśnie się stało. Kupcy wyrobów bawełnianych przestali czynić zamówienia u fabrykantów, skutkiem czego fabryki musiały ograniczyć produkcyę, a setki tysięcy robotników pozbawionych zostało chleba. Ponieważ wiele fabryk zamknięto, a inne ograniczyły swą produkcyę do trzech lub czterech dni w tygodniu, przeto wnet zmniejszyło się zapotrzebowanie surowej bawełny do tego stopnia, iż podaż jej stała się chwilowo większą od popytu. Jeszcze nie chciał dać Sully za wygraną i próbował przetrzymać ten okres zniżkowy dalszemi forsownemi zakupnami, ale owi kapitaliści, których kredytem on stał, osadzili go na lodzie i odmówili mu dalszego kredytu. Następstwem tego było, że Sully pozostał ze swymi zapasami bawełny, nabytymi po cenie nierozsądnie wysokiej, i musiał ogłosić bankructwo. W jednej chwili runął olbrzymi gmach jego spekulacyi, jak domek z kart. Zbytnia chciwość doprowadziła go do ruiny.

Obłęd tego rodzaju — jak pisze Lombroso — skonstatowano już u bardzo wielu graczy. Niejeden z nich miał już 9 milionów wygranych, ale powiedział sobie: gdy zaokrąglę mą wygranę do 10 milionów, przestanę grać. A tymczasem nie wygrał owego dziesiątego miliona, lecz przegrał owe dziewięć milionów, które już miał w kieszeni.

Zupełnie podobny wypadek miał miejsce przed kilku laty ze spekulantem zbożowym Leiterem w Chicago. Spekulował on w pszenicy i forsownemi kupnami potrafił podwoić jej cenę. Postanowił wszakże nie prędzej jak dopiero 15 maja rozpocząć wysprzedaż nagromadzonych zapasów, zapomniał jednak o tem, że oprócz niego było jeszcze wielu innych spekulantów na mniejsze rozmiary, którzy także nagromadzili duże zapasy, a rozpoczęli sprzedawać je o dwa tygodnie wcześniej niż Leiter wyznaczył sobie termin sprzedaży, bo już 1go maja. I zanim nadszedł ów termin, ustanowiony przez Leitera, cena pszenicy tak spadła, że był on już zrujnowanym człowiekiem. Psychiatrzy nazywają tego rodzaju obłęd, jakim podlegają gracze i spekulanci, obłędem arytmetycznym.

Wojna rosyjsko-japońska.

Tokio 7 kwietnia. W głównej kwaterze cesarskiej odbyła się wczoraj w obecności cesarza konferencya wojenna. Wzięli w niej udział ministrowie, oraz jeneralni podsekretarzowie ministerstwa wojny i marynarki, naczelni wodzowie armii i floty, nadto kilku mężów stanu z cesarskiej rady starców. Słychać, że na konferencyi omawiano dotychczasową akcyę wojenną floty japońskiej i sprawozdania admirała Togo. Niewiadomo, czy na tej konferencyi powzięto jakie uchwały co do przyszłych operacyi wojennych.

Petersburg 7 kwietnia. Jenerał Kuropatkin telegrafował do cara pod datą wczorajszą:

Jenerał Kaczaliński doniósł dnia 4 b. m., że nad rzeką Jalu panuje spokój. Naprzeciw Turańczenu na wysepce Matadeo, starli się ochotnicy nasi z japońską przednią strażą, która wyruszyła z Widżu. Po naszej stronie strat nie ma żadnych. Japończycy mieli 6 zabitych, a liczba rannych niewiadoma. Magazyny rosyjskie w Jongamfo zrabowali, a następnie spalili Japończycy. Naprzeciw małego oddziału żołnierzy rosyjskich, stanęło 300 żołnierzy japońskiej piechoty.

Niuczwang 7 kwietnia. Biuro Reutera donosi: Jen. Kuropatkin przybył tu wczoraj i odbył przegląd wojsk, których liczba wynosi 4.000. Składają się one z jednej bateryi artyleryi polnej, części stojących tu czterech pułków strzelców syberyjskich, oddziału kozaków i oddziału kawaleryi regularnej.

Irkuck 7 kwietnia. Jenerał-gubernator tutejszy wydał zakaz odbywania zgromadzeń, noszenia broni, kupowania amunicyi i podbijania cen żywności.

Petersburg 7 kwietnia. Przybyły z południowej Mandżuryi do Portu Artura sprawozdawca dziennika *Rossia* telegrafuje, że odniósł tam jak najlepsze wrażenie. Wojska palą się formalnie do walki. Wszystkie sfery ludności, także klasa kupiecka, usposobione są przyjaźnie dla Rosyi i mają zupełne zaufanie do oręża rosyjskiego. Kurs rosyjskich papierów wartościowych jest znów silny. Oddziały ochotnicze, tworzone przez ludność chińską, wyglądają bardzo dobrze. Chińczycy prowadzą bardzo ożywiony handel końmi. Tylko jeden mandaryn zachowuje się z wielką rezerwą. Kolej jest doskonale strzeżona i ruch odbywa się regularnie. Jest ciepło i sucho. Lody na rzekach spływają.

* * *

Pewien profesor jednego z rosyjskich uniwersytetów, rodowity Rosyanin, napisał w liście do swego znajomego w Krakowie następujące uwagi o wojnie:

...Wnoszę z listu Twojego, że wy tam za granicą interesujecie się wojną więcej, niż my tutaj. U nas już ucichł początkowy zapał ulicznych manifestacyj, które urządzała gawiedź pod opieką policyi. Teraz policya zabroniła manifestacyj, a bezsensowność wojny zaczyna rozumieć większa część inteligencyi. O wojnie krzyczą w niebogłosy dzienniki, fałszując opinię publiczną; nas zaś, tj. ogół społeczeństwa, tak już wojna znużyła w przeciągu tych 2½ miesięcy, że teraz można cały wieczór spędzić w towarzystwie, nie słysząc o niej słówka. Interesują się nią ci, których ona dotyka bezpośrednio, oraz ci, co myśleć umieją jedynie według gazety, którą czytają. Najwięcej też korzystają z wojny dzienniki, wychodzące w dwóch wydaniach dziennie i obałamucające publiczność. Nasze apatyczne społeczeństwo, nie umiejące ani myśleć samodzielnie, ani tembardziej mówić swobodnie, zaczyna jednak powoli rozpoznawać fałsz patryotycznego zapału tej wojny „o Koreę“, oraz przekonywać się, że wojna ta jest zbrodnią rosyjskiej dyplomacyi. Godnem uwagi jest to, że najporządniejsze i najbardziej czytane nasze miesięczniki: *Wiestnik Jewropy*, *Russkoje Bogactwo*, *Mir Bożyj*, *Obrazowanje*, *Russkaja Myśl* i jedyna u nas uczciwa gazeta *Russkija Wiedomosti* zupełnie obojętnie mówią o wojnie. Im niższy jest poziom moralny gazety, tem głośniej krzyczy ona na temat wojny i patryotyzmu. W tym tryumfalnym chórze główny ton trzyma oficyalno-nacyonalistyczne *Nowoje Wremia*, które niestety największy wpływ na ulicę wywiera. Słowem nasz „nastrój“ jest jeszcze nieokreślony, ale wojna wywołuje ruch i wzburzenie myśli. Nie dziwiłbym się, gdybyśmy w końcu wojny, po roku — okazali się największymi przyjaciółmi naszych teraźniejszych wrogów, na których obecnie naiwnie wymyślamy, pomimo, że postępowanie ich jest zupełnie zrozumiałe, gdy nasze jest niemądrem nieporozumieniem, albo czemś znacznie gorszem...

* * *

Od początku wojny — pisze *Kölnische Ztg.* — podług wszelkiego prawdopodobieństwa żaden pociąg z prowiantami nie odszedł z Rosyi europejskiej do Azyi Wschodniej. Zapas żywności, potrzebny codziennie dla 300 000 ludzi i 100.000 koni, wynosi 240 ton mąki, 110 ton mięsa, 110 ton jarzyn suszonych, herbaty, kawy, cukru, 560 ton owsa, 600 ton siana i słomy, ogółem 1600 ton. Gdyby armia rosyjska była ograniczona do dowozu z Rosyi europejskiej i gdyby, jak obecnie, dowóz morzem był wyłączony, to kolej syberyjska zaledwieby się uporała z dostarczaniem żywności na plac boju. Same bowiem przewożenie prowiantu wymagałoby dziennie sześciu pociągów po 30—35 wagonów każdy. Ponieważ jednak pociągi z prowiantami są na razie zbyteczne, przeto cały tabor kolejowy oddać było można dla przewożenia wojsk.

Dziać się to jeszcze może przez kilka miesięcy, ponieważ podług sprawozdań rosyjskich, przy rozpoczęciu wojny zapas żywności na dalekim Wschodzie dla 300.000 ludzi i 100.000 koni wystarczyć może na sześć miesięcy, magazyny więc w Azyi Wschodniej wyżywić mogą wojska aż do końca lipca. Wysyłki więc prowiantu z Rosyi europejskiej nie będzie potrzeba rozpocząć wcześniej, niż w ostatnim tygodniu czerwca. Co się tyczy środków miejscowych, to Mandżurya i okolice wywożą rocznie około 57.000 ton zboża. Jeżeli z r. 1903 pozostała jeszcze trzecia część na miejscu, to Rosya po żniwie, czyli we wrześniu, rozporządzać tam będzie około 60.000 ton, ponieważ mowy nie może być o tem, aby Japonia zdobyła w lecie oba te kraje. Liczba wołów wynosi w Mandżuryi 600.000, w kraju nadamurskim 56.000. Niezależnie od tego oba te kraje obfitują w trzodę chlewną, stanowiącą główne pożywienie mięsne ludności tamtejszej. Ta więc żywność, która na miejscu istnieje, będzie mogła być w pewnej części użyta także dla wojska, co stanowić może ulgę dla kolei syberyjskiej.

* * *

MUKDEN.

Stolica Mandżuryi południowej jest grodem niezmiernie ciekawym, zasługującym, by poznać jego cechy charakterystyczne.

Mukden, to nazwa mandżurska, Chińczycy bowiem nazywają go Szen-jangiem. W rzędzie miast państwa chińskiego zajmuje on bardzo ważne stanowisko dla dwóch powodów: jest kolebką obecnie panującej dynastyi i posiada w pobliżu grobowiec cesarzy chińskich. Uważane za centrum administracyjne prowincyi Czeng-King, albo Feng-tien, jest rezydencyą wice-króla i korzysta z przywilejów, nienadanych innym miastom; posiada prawa wprawdzie bardzo skromne, ale bądź co bądź, autonomiczne.

Samo miasto posiada jedną wielką zaletę: jest pozbawione monotonii, właściwej wszystkim miastom chińskim. Niewielkie jego środowisko, rozciągające się na przestrzeni kilometra kwadratowego, jest opasane murem, będącym miniaturą pekińskiego. Wejście prowadzi przez bramy monumentalne, zamaskowane rodzajem półksiężyców, które trzeba okrążać, zanim się przeniknie do wnętrza. Nad wejściami wznoszą się wielopiętrowe wieże z dachami, zadartemi w kątach, zaopatrzone w znaczną liczbę strzelnic, przeznaczonych dla obrońców miasta; oczywiście oddawna wieże straciły powagę pozycyi obronnych i służą jedynie ku ozdobie, mówiąc nawiasem, groźnej dla przechodniów. Na murach widoczne są liczne rysy, czas ich nie oszczędził, wszystko grozi zawaleniem, ale ma w sobie dużo charakteru, jest ciekawym okazem starożytnej architektury.

Wewnątrz, od jednej bramy do drugiej, ciągną się szerokie ulice, wiele jednak pod względem czystości pozostawiające do życzenia. Po tych pełnych wybojów drogach grząskich, cuchnących, chodzić niepodobna. Chińczycy wydeptali ścieżkę, ściśle do domów przylegającą, po której drepcą gęsiego. Środkiem zaś przechadzają się trzody nierogacizny, zażywając swobody nieograniczonej.

Dokoła murów, na ich stronach zewnętrznych, rozciągają się przedmieścia, nader licznie zabudowane, gdzieześrodkowywa się handel zbożem i futrami.

Mnogość i różnorodność budowli nadaje Mukdenowi piętno niezwykle oryginalne, prawie zalotne: pełno tu barw i urozmaiconej struktury.

Najciekawsze są jednak groby cesarskie. Dwa leżą w odległości piętnastu kilometrów od miasta, trzeci najbardziej interesujący, w odległości ośmiu. Monument stoi w gęstym lesie sosen mandżurskich. Szeroka aleja, ciągnącą się wśród słupów, pokrytych napisami, wiedzie do głównych wrót, położonych w kierunku południowym, tj. od strony miasta, poprzedzonych mostem z kamienia ciosanego. Most ten jest symbolem ostatniej wędrówki zmarłego, przejściem ze świata do miejsca wiecznego spoczynku.

Za mostem przed bramą, piętrzy się wspaniały łuk tryumfalny, strzeżony przez kamienne, olbrzymie lwy. Mur, kryty żółtemi dachówkami zamyka olbrzymi park kwadratowy, do którego nawet Chińczycy nie mają wstępu. Przecinają go w kształcie krzyża aleje, sięgające od bramy do bramy; główną, ciągnącą się od wejścia południowego, zdobią po bokach kolosalnych wymiarów zwierzęta, w kamieniu wyciosane: konie, wielbłądy, słonie i t. p. W środku parku olbrzymi żółw kamienny dźwiga na grzbiecie słup, okryty napisami, za nim stoi wspaniała pagoda, osłaniająca grobowiec. Architektura wszystkich budowli odznacza się bogactwem, sam grób natomiast poprostu wzrusza swoją skromnością. Jest on zwykłą mogiłą, tylko nieco wyższą, niż na chińskich cmentarzach, a na wierzchołku jej rośnie sosna. Cały park, urządzony na sztucznem wzgórzu, jest utrzymywany w porządku wzorowym.

Przy wejściu od strony wschodniej stoi mały pałac, urządzony z wielkim przepychem. Zwykle mieszkał w nim cesarz, przybywając co rok dla przewodniczenia uroczystościom żałobnym, składania ofiar prochom przodków. Ale od wielu lat obecny władca Chin nie odbywa tradycyjnych pielgrzymek, lecz deleguje zastępcę, w osobie wice-króla Mukdenu. Oczywiście ceremonie odbywają się z wielką wspaniałością przy ogromnym napływie ludności z całego kraju.

KRONIKA.

Lwów 7 kwietnia.

X. arcybiskup Bilczewski wyjechał na pięć tygodni do Rzymu.

Odznaczenia. Z okazyi ukończenia I okresu czynności państwowych rad przemysłowej i rolniczej Cesarz nadał radzcy handlowemu i posłowi do Rady państwa dr. Henrykowi Kolischerowi w Czerlanach order żelaznej korony 3-ciej klasy, oraz polecił wyrazić najwyższe zadowolenie radzcy dworu i emerytowanemu profesorowi uniwersytetu, członkowi galic. Wydziału krajowego dr. Tadeuszowi Pilatowi.

Jarmark wyrobów krajowych urządzony będzie we Lwowie, staraniem Towarzystw pracujących nad uprzemysłowieniem kraju. Potrwa on od 15 czerwca do 15 lipca b. r, a odbędzie się na placu powystawowym. Tem wznowieniem na szerszą skalę tradycyi jarmarków świętojurskich spodziewają się inicyatorzy przełamać z czasem tkwiące jeszcze w naszej publiczności uprzedzenie do wyrobów krajowego przemysłu i rękodzielnictwa. Wszelkich wyjaśnień dotyczących jarmarku, udziela Biuro komitetu (ul. Klementyny Tańskiej l. 1, koło hotelu Żorża we Lwowie) w godzinach od 9 do 1 i od 4 do 7.

Z Colosseum. Program, jaki obecnie dyrekcya tego zakładu zestawiła, zaleca się doborem produkcyi interesujących, trudnych i wdzięcznych. W szczególności podnieść należy oryginalną tresurę dwóch piesków, które naśladują mimikę dwojga śpiewaków francuskich, ładne tańce subretki Negrita i sióstr Reno, zadziwiające popisy gimnastyczne braci Malmsten na rowerze, sióstr Ernesto na drutach stalowych, dwojga bardzo miłych dzieci angielskich Harry and Rosa, trupy Lafaille, oraz drastycznych komików gimnastycznych The Tups. Z obrazów bioskopowych wymieniamy nader zajmujące: „hodowla pszczół“ i sceny z walk partyzanckich w Macedonii.

Wojna z czarownikami. Z Petersburga donoszą, że wśród żołnierzy rosyjskich szerzy się pogłoska, jakoby Japończycy strzelali magicznemi kulami, które odbierają Rosyanom wszelką siłę. Oficerowie usiłują demonstracyami odpowiedniemi wykazać bezpodstawność tej pogłoski, lecz wszystko napróżno. Żołnierze z uporem utrzymują, że im każą walczyć „nie z ludźmi, lecz z czarownikami.“

Konkursa rozpisują: Gmina miasta Sokołów koło Rzeszowa na posadę lekarza miejskiego z roczną płacą 1000 koron. Podania do 15 maja. — Zarząd miasta Nowego Sącza na nowo utworzoną posadę inżyniera miejskiego. Płaca roczna 2.800 koron, ryczałt na objazdy 700 koron. Podania do końca kwietnia.

Spalona wieś. W nocy z poniedziałku na wtorek spłonęła doszczętnie położona w powiecie gorlickim wieś Kwiatkowice. W płomieniach zginęła jedna kobieta. Szkoda wynosi około 300.000 koron.

Sprawca zamachu na X. Pakiża, akademik Sochacki, zostanie oddany na przedstawienie jego obrońcy dr. Dwernickiego pod obserwacyę lekarską. Sochacki cierpi na epilepsyę. Już raz na tej podstawie Sochacki został uwolniony przy rozprawie karnej, mianowicie kiedy stawał oskarżony o kradzież zegara w poczekalni I klasy na dworcu kolejowym w Bóbrce, o kradzież rzemieni od okien z wagonów kolejowych, oraz rozmaitych trucizn z apteki w Bóbrce. Uznano wówczas, że wyliczone czyny popełnił właśnie w stanie takiej chwilowej nieprzytomności.

Skandaliczne zajście w redakcyi. W przystępie chwilowego szału usiłowała onegdaj wieczór w Wiedniu odebrać sobie życie hrabina Wilma Festetics, w czem jej przeszkodził jakiś młody człowiek. Donosząc o tym wypadku zrobił *Neues Wiener Journal* uwagę, że hrabina Festetics, rozwiedziona ze swoim drugim mężem, spędziła ostatnią noc wraz z synem swoim na orgii w drugorzędnej kawiarni. Dotknięta ową uwagą, postanowiła hrabina Festetics wymierzyć sama sobie sprawiedliwość za ten paszkwil i wczoraj wieczorem przyszła do redakcyi *Neues Wiener Journal*, w towarzystwie swojego syna z pierwszego małżeństwa, porucznika ułanów i oświadczyła redaktorowi, że czuje się obrażoną treścią artykułu i żąda pewnej satysfakcyi,

Zanim jednakowoż redaktor zdołał się upamiętać w powodzi słów rozżalonej kobiety, rzuciła się ona na niego i wymierzyła mu silny policzek. Załatwiwszy się w ten sposób z jednym redaktorem, rzuciła się hrabina w stronę innych. Powstał ogromny gwałt i hałas, nareszcie ktoś zatelefonował po policyę, która przemocą wyprowadziła kobietę z redakcyi.

Porucznik Festetics zachował się w całe sprawie dość neutralnie, albowiem groził tylko wydobyciem szabli, lecz sam nie znieważył nikogo.

Zamordowanie rządcy. W pobliżu miasta Skwiry w gubernii kijowskiej, zamordowano w tych dniach p. Jankowskiego, rządcę majątku Sarażyńce. Wracał on późnym wieczorem ze Skwiry do Sarażyniec. Wieś ta leży już na pograniczu pow. berdyczowskiego, więc drogę miał daleką. Gdy zbliżał się do domu, napadło na bryczkę kilku zbójców. Jeden z nich zasztyletował konia, a potem rzucili się wszyscy na p. Jankowskiego i jego woźnicę i obu zamordowali w straszny sposób nożami. Ograbiwszy zwłoki, zbrodniarze znęcali się jeszcze nad trupem, przypalając nogi stygnącego już ciała. Wdrożone śledztwo wykryło pewne poszlaki, padające na włościan ze wsi pobliskich. Aresztowano już trzech włościan z Junaszek i czterech z Sarażyniec.

Ładny pedagog. Przed izbą karną sądu krajowego w Berlinie stawał w tych dniach student medycyny, Stanisław Barański, oskarżony o kradzież wekslu z podpisem ks. Stanisława Radziwiłła. Barański był guwernerem młodego księcia, a dopomagał swojemu uczniowi nietylko w naukach, ale i w zaciąganiu długów. Jeden z weksli zatrzymał Barański u siebie i zapłacił nim długi w restauracyi Fiszera. Po przeprowadzonej rozprawie skazał sąd osobliwego pedagoga na 9 miesięcy więzienia.

Przedstawienie polskie w Wiedniu. Pisaliśmy przed paru dniami o bardzo udałem polskiem przedstawieniu amatorskiem w Wiedniu. Owóż w uzupełnieniu tej notatki podajemy, że oprócz komedyj „Przed ślubem“ i „Świeczka zgasła“, odegrano tam jeszcze farsę francuską p. t. „Chateau Yquem,“ w której wystąpili panie Krzywoszewska i Harajewiczowa, oraz pp. Pilat i Zoll. Sztuka ta podobała się bardzo, bo grano ją podobno świetnie.

Reżyserem tej trupy amatorskiej był znany zaszczytnie publicysta i wysoki urzędnik w ministeryum dla Galicyi, p. Rosner.

Towarzystwo wyższych kursów wakacyjnych, nowa instytucya, podobna do t. zw. uniwersytetów ludowych, rozpocznie w sierpniu b. r. swą działalność w Zakopanem. Unikać ona będzie wszel-

kiej tendencyjności stronniczej, a prócz urządzania wykładów, urządzać będzie t. zw. konwersatorya dla ćwiczenia słuchaczy we własnej pracy umysłowej.

W tym roku zapewnione są wykłady kilku profesorów uniwersytetu i znanych autorów prac naukowych, z dziedziny filozofii, językoznawstwa, historyi literatury i sztuki, prawa i historyi religii. Wykłady odbywać się będą od 1 sierpnia do połowy września br. w godzinach przedpołudniowych od 8 do 1 codziennie z wyjątkiem niedziel. Nadto są projektowane wycieczki naukowe. Komitet ułatwia też słuchaczom pobyt w Zakopanem. Informacyi udziela Biuro zarządu w Krakowie, Poselska 20, 2 p.

Zguby. Wczoraj zgubili Józef Gąsiorowski, wieśniak i Jan Murzyński, właściciel realności, swoje książeczki wkładkowe Kasy oszczędności: pierwszy na kwotę 210 koron (nr. 112.412), drugi na 1500 koron (nr. 34.341). Ostrzegamy więc, aby nikt nie kupował tych książeczek, bo jest możliwem, że oszuści zechcą je sprzedać.

Sztuka polska w Düsseldorfie i w St. Louis. W roku bieżącym wystąpi sztuka polska na dwóch wielkich międzynarodowych wystawach, mianowicie w St. Louis i w Düsseldorfie, przewidzieć jednak już z góry można, że obie wypadną bardzo słabo i nie przyniosą ani artystom, ani sztuce naszej tej sławy, jaką przyniеśćby mogły, gdyby były należycie obesłane. Artyści nasi nie przygotowali się do nich odpowiednio, nie zdążyli nawet zgromadzić wybitnych dzieł współczesnych i zastanowić się, które z nich godne są zaprezentowania światu. Gromadzili płótna w największym pośpiechu i bez żadnego namysłu, a główną przyczyną tego było, że pierwotnie mieli Polacy posiadać wspólną salę z Czechami, czyli, że mogli rozporządzać ścianą długości 18 metrów bieżących. Musiano się zatem ograniczyć zaledwie do kilkunastu rzeczy z ostatnich lat. Tymczasem wskutek poróżnienia się wiedeńskiej Secesyi z ministerstwem Polacy otrzymali salę przeznaczoną pierwotnie dla Secesyi i rozporządzają obecnie aż 44-ma metrami. Niestety jednak zawiadomienie o tem przyszło późno, bo zaledwie na dwa tygodnie przed ostatecznym terminem wysłania obrazów, nie było więc czasu na tworzenie osobnych jury we Lwowie, w Krakowie i w Warszawie, któreby zadecydowały o wyborze płócien, lecz pościągano na gwałt co tylko było można ze Lwowa, gdzie się właśnie odbywała wystawa „Sztuki“ i z Warszawy, gdzie się odbywały wystawy Fałata, Czajkowskiego, Kamockiego, Szczyglińskiego i Filipkiewicza.

Na wystawę düsseldorfską otrzymała „Sztuka“ zaproszenie bez najmniejszych starań z jej strony, więc też do niej i przygotowań nie czyniła. Tymczasem komitet, urządzający wystawę, nadesłał na ręce prof. Stanisławskiego, a później na ręce dyrektora krakowskiej akademii malarskiej p. Fałata zaproszenia i ofiarował Polakom salę dużą, zupełnie osobną, kształtu prostokąta, którą udekorować możnaby bardzo dobrze, ale niestety nie będzie czem, gdyż na ogół wziąwszy nie wiele posiadamy, a i z tej niewielkiej liczby najlepsze rzeczy posłano już do St. Louis.

Rozmieszczeniem obrazów i artystycznem udekorowaniem sali na wystawie w St. Louis zajmie się prof. krakowskiej akademii sztuk pięknych p. Axentowicz. Dekoracyę zaś tej sali, mianowicie oryginalny ornament z liści i z kwiatów kasztanowych wykonał Wyspiański, a fryz z białych sów będzie wedle pomysłu J. Fałata.

Sala na wystawie düsseldorfskiej dekorowana będzie kartonami do katedry płockiej; witrażami jutrosińskiemi i freskami Trójcy Mehoffera (znanymi nam z wystawy „Sztuki“), oraz dekoracyjnemi pracami Wyspiańskiego.

Wychodźtwo galicyjskich robotników do Prus. Telegram z Krakowa doniósł nam wczoraj, że z tamtejszego dworca wyjechało siedm pociągów, wiozących po 600—800 robotników naszych do Prus. Dziś zamieszcza *Czas* charakterystyczną rozmowę jednego ze swoich współpracowników z owymi wychodźcami.

— Podchodzę — opowiada ów współpracownik — do jednej z liczniejszych grup od Jarosławia i pytam, dlaczego tak chętnie jadą do Prus, gdy najczęściej tu w kraju mogą znaleść robotę i uzyskać taki sam zarobek, jak w Prusach.

— Widzicie panie — słyszę odpowiedź — ludziom „cnie się“ w chałupie i we swojej wsi. Wolą się przejechać koleją kawałek drogi, zobaczyć cudze kraje i cudze obrządki. Tak się ludzie przewietrzą i po drodze zarobią. We wsi, widzicie, takiej uciechy nie mają. Wy jedziecie na lato do kąpiel; my na Saksy.

— Któż wam obrobi grunta i żniwa przeprowadzi?

— Zostają starsi ludzie; oni dadzą radę obrobić morg albo dwa ziemi, a wolą, jak im przywieziemy na zimę pieniędzy.

— Macie zapewnioną robotę?

— My już „na gotowe“ jedziemy co roku, do tych samych Saksów. Odrazu staniemy do roboty.

— Wam tam krzywdę robią?

— Czasem ta zrobią krzywdę, o kilka marek oszukają, ale ludzie na to nie uważają. Każdy chłopak i dziewucha rwie się na robotę do Saksów.

— Nie szkoda wam dziewcząt. One się tam często marnują...

— W domu się też nieraz marnują...

Wogóle taki optymizm panuje wśród tych rzesz wychodźczych, że żadne perswazye nie zdołają wstrzymać prądu, ogarniającego kraj. Na Saksy! — oto hasło, obiegające wszystkie wioski; oto ideał każdego chłopaka i dziewczyny. Na Saksy rwą się kilkunastoletnie dzieci, łudzone zarobkami i tą właściwą polskiemu chłopu żyłką awanturniczą. Gdyby mu nawet obliczono, że więcej zarobić może w domu w swej gminie, na obszarze dworskim — to i tak nie pozostanie. Woli mniej, woli nieraz poniewierkę, byle miał sposobność przejechania się „na Saksy“.

Zmarli. We Lwowie Alfred Elsner, centralny inspektor i zastępca dyrektora kolei państwowych we Lwowie, przeżywszy lat 65. Był bardzo lubianym i szanowanym przełożonym.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 5, w poł. + 10. Bar. 769. Podnosi się. Pogodnie.

Przezorne małżeństwo.

— Wiesz? Kiksińscy się rozwodzą!

— Też nowina!... Umówili się o to jeszcze przed ślubem.

Kwiatek stylowy.

„Zrozpaczony, biegał po pokoju, chwytając się za głowę, którą dawno utracił.

Zgryzota.

— Zatem przyznajesz, żeś okradł sklep z ubraniem?

— Przyznaję...

— To dziwne, że kasa była nienaruszona

— Niech mi pan sędzia nie przypomina; ja sam darować sobie tego nie mogę!

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we czwartek „Małka Schwarzenkopf,“ sztuka ze śpiewami i tańcami przez G. Zapolską. — W piątek „Słodka dziewczyna,“ operetka H. Reinhardta. — W sobotę po raz pierwszy „Nieporozumienie,“ sztuka w 4 aktach przez G. Zapolską. — W niedzielę popołudniu „Zmartwychwstanie,“ sztuka L. Tołstoja: wieczorem „Lysistrata,“ operetka w 3 a. P. Linckego i „Pan Choufleuri przyjmuje,“ operetka w 1 a. Offenbacha.

Teatr ludowy. W sobotę popołudniu przedstawienie dla młodzieży po cenach zniżonych „Ogniem i mieczem“, sztuka w 6 odsłonach z powieści H. Sienkiewicza. — W niedzielę popołudniu „Napoleon z Polakami w Hiszpanii“, sztuka w 7 odsłonach przez Dumonta. Wieczorem „Majstrowa z Chorążczyzny“, wodewil w 4 aktach ze śpiewami i tańcami.

Filharmonia. W sobotę 9 b. m. pożegnalny wieczór pieśni dra Konrada Zawiłowskiego. — W sobotę 16 b. m. koncert p. Aleksandra Michałowskiego, jednego z najznakomitszych polskich pianistów, nieporównanego wykonawcy utworów Chopina.

Colosseum (w pasażu Hermanów). Od 3go kwietnia najwspanialszy program w tym sezonie. 3 Sisters Ernesto, sensacyjny akt na drutach stalowych. Trupa Lafaille, scena komiczno akrobat. The Tups, najkomiczniejsi ekscentrycy. Sisters Reno, ameryk. tancerki. Harry and Rosa, cuda ekwilibrystyki. 10 nowych sensacyj! W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Prof. dr. Józef Nusbaum**: *Szlakami wiedzy.* Odczyty dla wykształconego ogółu o zagadnieniach biologii współczesnej. Z portretem autora, ośmioma tablicami i licznymi rysunkami w tekście. Lwów, nakładem Księgarni Polskiej.

Każdy wykształcony człowiek spotyka się w życiu bardzo często z wypadkami, wobec których widzi, że jego wiedza, nabyta w szkołach, ma wielkie luki. Słyszy się np. o różnych wynalazkach w dziedzinie chemii, elektrotechniki, mechaniki i jeżeli ktoś sam nie jest fachowym, nie łatwo potrafi zrozumieć, na czem pewien wynalazek polega. Najwięcej jednak dają się nam te luki odczuć w zakresie fizyologii i biologii, gdyż dziedzina tych zjawisk jest nam najbliższą i najbardziej dla nas żywotną. Jaka jest istota życia i śmierci pod względem fizyologicznym? Na czem polega myślenie, a czem jest sen? Takie pytania stają nieraz przed nami, radzibyśmy wtedy mieć kogoś, coby nam dał jasną, wystarczającą odpowiedź, pouczył nas o współczesnym stanie wiedzy w tych kwestyach, i pozostawiając na boku uczone trudności, wprowadził w nieznane nam tajniki, pokazał inne jeszcze zagadki i pytania, których sobie sami zadać nie możemy, bo za mało wiemy.

Takim dobrym informatorem może być dla nas książka prof. Nusbauma, której tytuł powyżej przytaczamy. Czytelnik znajdzie w niej jedenaście odczytów z dziedziny biologii i fizyologii. Najbardziej zajmującemi są rozdziały: o rozwoju biologii w ostatnich stu latach, o życiu i śmierci, o życiu w otchłaniach morskich, o nowych teoryach powstawania gatunków, o świetle i barwach w przyrodzie organicznej, o wyrazie twarzy i mowie oczu. Z tego ostatniego rozdziału przytaczamy jeden wyjątek, w którym autor wytłómacza, o ile odczytywanie charakteru lub chwilowego usposobienia człowieka z mimiki twarzy i oczu z powodów fizyologicznych ma pewną podstawę. Polega ono przedewszystkiem na tem, że każdemu podnieceniu lub obniżeniu czynności systemu nerwowego towarzyszy spotęgowanie lub osłabienie działalności mięśni twarzy i oczu, bardzo wrażliwych pod tym względem. Powtóre pewne ruchy tych mięśni odbywają się, że tak powiemy, na podstawie analogii. Prof. Nusbaum tak to wyjaśnia: Oto znany jest fakt psycho-fizyologiczny, zbadany bliżej przez Wundta, że pewne uczucia kojarzą się z wyobrażeniami pewnych wrażeń zmysłowych. Dlatego to mówi się często: „słodka dobroć“, „gorzkie wyrzuty sumienia“, „ciężki smutek“, dolce far niente“, „czarna nienawiść“, „biała niewinność“ itd. Takie zestawienia wyrazów są, ściśle biorąc, nielogiczne, bo jakże wyrzut może być gorzkim, a bezczynność dla leniucha słodką. Słodkim może być w rzeczywistości cukier lub sacharyna, gorżkim piołun, chinina, żółć lub inne ciało. Jeżeli jednak w języku wszystkich ludów napotykamy bardzo liczne zestawienia podobne, to jest to właśnie wynikiem bezwiednie poznanego przez nas faktu psycho-fizyologicznego, że przy pewnych przyjemnych lub przykrych uczuciach znajdujemy się w stanie podobnym do tego, jak gdybyśmy doznawali przyjemnych lub przykrych wrażeń zmysłowych. Jeżeli mówimy o ciężkiej doli, to zdaje nam się, że nas rzeczywiście coś przygniata, że nam coś ciąży okropnie; gdy mówimy o czarnej rozpaczy to nam się zdaje, że już istotnie słońce dla nas nie świeci i że noc ponura nas otacza.

„Ale oto nasze najwyższe organa zmysłowe: narządy wzroku, słuchu, smaku i powonienia mieszczą się w głowie, a każdy z nich posiada aparat mięśniowy służący do zabezpieczenia od szkodliwych wpływów zewnętrznych. Mięśnie oczu np. zamykają się odruchowo, gdy nieco za jasny promień razi ten delikatny organ, lub gdy jakieś obce ciało zanadto zbliży się do niego. Te odruchy samozachowawcze występują też często w innych narządach sąsiednich skutkiem kojarzenia się odruchów. I tak np. gdy bierzemy do ust coś kwaśnego, to nietylko krzywimy się, tak, jakbyśmy się do splunięcia przygotowywali, nietylko zaciskamy usta i zęby, chroniąc się niejako odruchowo od nowej dawki przykrego bodźca, ale prócz tego mrużymy często szczelnie oczy, jakgdyby chroniąc je od przykrego jakiegoś bodźca świetlnego. Związek pewnych ruchów mięśniowych z pewnemi wrażeniami wzrokowemi, smakowemi lub węchowemi jest tak ścisły, że np. jeżeli umiejętnie wykonamy ruch mimiczny, podobny do tego, jaki powstaje bezwiednie przy zetknięciu się języka naszego z czemś przykrem, gorzkiem w smaku, to jest gdy ściągniemy silnie usta, wierzchołek języka przyciśniemy do podniebienia i tylnej powierzchni siekaczy, a twarz skrzywimy, uczujemy natychmiast istotnie przykry, gorżkawy smak w ustach. Spojrzmy na światło lampy pokojowej, która nas dotąd wcale nie raziła i wykonajmy przytem taki ruch mimiczny: zmrużmy oko i sfałdujmy skórę na czole w zmarszczki pionowe, a przekonamy się, że doznajemy jakiegoś przykrego wrażenia świetlnego.

„Tak więc pewne ruchy mimiczne towarzyszą pewnym wrażeniom zmysłowym, a z pewnemi wrażeniami zmysłowemi łączą się odpowiednie uczucia i stany psychiczne. Gdy doznajemy uczuć bardzo przykrych, np. wstrętu lub odrazy, usta nasze mimowoli przybierają taką postać, jak wówczas kiedy gorżka lub kwaśna substancya dotyka naszego języka, ściągamy tedy oddechowo usta, czoło marszczy się w fałdy pionowe ponad nosem, a nadto powieki się obniżają, jak gdyby dla zabezpieczenia się od przykrego światła. Przeciwnie przy uczuciach radosnych otwieramy usta, rozszerzamy skrzydła nosowe, szeroko otwieramy oczy, jak wówczas gdy coś dobrego smakujemy, gdy napawamy się przyjemną wonią, albo spoglądamy na piękny i miły krajobraz.

„Dla zilustrowania owej współzależności ruchów mimicznych, wrażeń i uczuć, rozpatrzmy przykład następujący: Oto zdający egzamin siedzi przed profesorem i ma odpowiedzieć na zadane sobie trudne pytanie, na które nie łatwo jednak znajduje odpowiedź Obserwujmy mimikę jego. Naprzód zacznie on poruszać oczyma, zwróci je ku górze, skieruje w bok, spuści na dół, wpatrując się za każdym razem pilnie, jakgdyby w pewien punkt stały. Dlaczego wykonywa on takie odruchy? Oto szuka w umyśle odpowiedzi, a ta czynność psychiczna kojarzy się z wyobrażeniem jakiegoś szukania zmysłowego, uczeń wodzi tedy bezwiednie oczyma to w tym to w owym kierunku, jakgdyby chciał znaleść w ten sposób poszukiwany przedmiot. Gdy to nie pomaga, a profesor się niecierpliwi, uczeń doznaje przykrego uczucia, zdaje mu się przeto, że mu coś fizycznie dokucza, że go coś drażni lub niepokoi i instynktownie sięga ręką do czoła, trze je silnie dłonią jakgdyby usuwając jakąś zawadę. Pocierając czoło marszczy je jednocześnie w fałdach pionowych, przymyka oczy, przysłania je nawet dłonią, jakgdyby szukając ulgi przed rażącem światłem, wreszcie krzywi się jakby przełykał coś gorżkiego.

„Owej współzależności ruchów i uczuć dowodzi także fakt, że na odwrót przez dowolne wykonywanie pewnych ruchów mimicznych nietylko możemy wywoływać u siebie pewne złudzenia zmysłowe, a nadto wzbudzać pewne nastroje duchowe. Możnaby przytoczyć bardzo wiele takich przykładów. Jakże łatwo — gdy chcemy — możemy wpaść w gniew istotny. Znałem pewnego zwierzchnika, który umiał na zawołanie wpadać w gniew szalony. Gdy podwładny urzędnik coś zawinił, przełożony postanawiał okazać mu swoje oburzenie w pewnej chwili stosownej. W upatrzonym tedy z góry czasie (najczęściej podczas obecności różnych innych podwładnych w biurze), jakkolwiek bezpośrednio przedtem najspokojniej rozmawiał, chmurzył czoło, marszczył brwi, wysuwał naprzód szczękę dolną, pokazując szeregi zębów, zaciskał pięści, uderzając niemi o stół, szybko chodził po pokoju, tupał nogami, a potęgując głos w niezwykły sposób, wpadał stopniowo w coraz to silniejszy gniew, który miotał nim coraz potężniej, budząc postrach w otoczeniu. Przez stosowną zatem mimikę i wogóle przez odpowiednie ruchy mięśniowe, wywoływał w sobie ów człowiek stan rzeczywistego podniecenia psychicznego. Znają dobrze te sposoby artyści dramatyczni, umiejący wywoływać w sobie najwyższy patos, któremu towarzyszy blednienie twarzy lub obfite łez przelewanie, a to wyłącznie tylko przez bardzo umiejętne modulowanie głosu i dokładne naśladowanie tych wszystkich ruchów mimicznych i ruchów całego ciała, jakie towarzyszą zwykle bezwiednie odpowiedniemu nastrojowi ducha. Podobnie też postępują t. zw. płaczki, wynajmowane na pogrzebach u wielu ludów wschodnich. Kobiety te zaczynają głośno krzyczeć, naśladując szlochanie i zawodzenie niewiast, rzeczywiście nieszczęściem dotkniętych, załamują ręce, rwą sobie włosy, a tak wpadają rzeczywiście w rozpacz, chociaż nieboszczyk, którego tak serdecznie za pieniądze opłakują, mógł im być najzupełniej obojętny.

„Na zakończenie musimy jeszcze zapytać: czy twarz i oczy są stałem odzwierciedleniem duszy? Często mówimy o inteligentnym i bezmyślnym wyrazie twarzy, o mądrych, myślących oczach, o oczach smętnych, bystrych lub lalkowatych. Jakkolwiek często mylą nas pozory w tym względzie, to jednak w większości wypadków istnieje pewien związek między wyrazem twarzy i oczu a inteligencyą i charakterem ludzkim. Ze stanowiska fizyologicznego związek ten wytłómaczyć sobie można w sposób następujący.

„Gdy bardzo często wykonywamy pewne ruchy mimiczne, odpowiednie grupy mięśniowe przez częstą czynność lepiej się rozwijają, wprawiają doskonale do swojej funkcyi i znajdują się w stanie silniejszego, stałego napięcia; nadto częste, lokalne fałdowanie się skóry wywołuje zmarszczki w pewnych określonych okolicach. Stąd ludzie o usposobieniu pustem, pobudzanem naprzykład często do wesołości, mają wyraz twarzy ujawniający zawsze dobry humor; spojrzenie ich niespokojne, z przedmiotu na przedmiot, podobnie jak myśl ich, przeskakujące, brew do góry wzniesiona, oko szeroko otwarte, czoło bez zmarszczek pionowych ponad nasadą nosa, lecz często ze słabymi fałdami poprzecznymi, a w ustach grymas, podobny do tego, jaki wykonywamy, spoglądając na coś komicznego. Przeciwnie, ludzie o usposobieniu mrukliwem, często i byle czem się irytujący i zgryźliwi, mają wyraz twarzy przykry, czoło nachmurzone wskutek wystąpienia zmarszczek pionowych ponad nosem, a w ustach stale grymas, nieco podobny do tego, jaki wykonywamy przy afektach przykrych lub gdy uczuwamy smak gorżki, albo spoglądamy na coś odrażającego.

„Jeszcze słówko o stałym wyrazie oczu. Przy afektach, podniecających nasz ustrój nerwowy, powieka górna podnosi się, a powierzchnia oka więcej się obnaża; naodwrót, afektom natury łagodnej lub deprymującej towarzyszy obniżenie powieki górnej. Stąd wskutek wprawienia się odpowiednich grup mięśniowych do pewnych czynności, osobniki o bardzo żywym nastroju ducha mają zwykle oczy szeroko otwarte, natomiast osobniki o usposobieniu łagodnem, spokojnem — powieki niżej spuszczone (oznaka skromności). Ludzie, oddający się bardzo wiele rozmyślaniom i zadumie, spoglądają często w jak najdalszą przestrzeń, nie zatrzymując wzroku na żadnym poszczególnym przedmiocie, a źrenice ich rozbiegają się przeto silnie, zbliżając się bardzo wyraźnie do zewnętrznych kątów oczodołów. Dlatego też takie mocno i wybitnie rozbieżne oczy wskazują na zadumę, zamyślenie, mają w sobie coś nadziemskiego, niebiańskiego. U Madonny Rafaela widzimy oczy, przedstawione wybitnie rozbieżnie i stąd znakomity efekt owej cudownej zadumy“.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5 kwietnia.

(Z). Ogłoszony właśnie bilans banku austro-węgierskiego za ostatni tydzień wykazuje, że zapotrzebowanie gotówki na ultimo marca było na targu tutejszym o wiele znaczniejsze, niż przypuszczano. Portfel wekslowy banku zwiększył się bowiem w ostatnim tygodniu o ogromną sumę 73 milionów koron i wynosi obecnie prawie 271 milionów, zwiększyła się także nieco suma pożyczek, udzielonych na zastaw papierów wartościowych. Ostatecznym rezultatem tego zwiększonego odpływu gotówki z kas bankowych jest to, że ogólna cyrkulacya banknotów w państwie wzrosła o 86½ milionów koron, na 1.632,461.000 koron, a wolna od podatku rezerwa banknotów zmniejszyła się o 92 milionów, na 265,459.000 koron.

W obrotach dzisiejszych powszechną uwagę zwracał dotkliwy spadek kursu walorów naftowych, wywołany wiadomością, że istniejącym już i związanym w kartel rafineryom nafty grozi bardzo poważna konkurencya ze strony nowo powstać mających przedsiębiorstw. Istnieje bowiem plan założenia całego szeregu nowych rafineryj nafty w Austryi i na Węgrzech. I tak pewne Towarzystwo angielskie, mające główną siedzibę w Londynie, a filie w Wiedniu i Budapeszcie, nabyło już podobno rozległe grunta na granicy szląsko-galicyjskiej i chce na nich wybudować wielką rafineryę nafty.

Drugi projekt założenia rafineryi nafty dojrzewa w Pradze, trzeci rozbierany jest w gronie wiedeńskich handlarzy nafty, którzy chcą założyć własną rafineryę w Austryi Dolnej, taki sam projekt powstał wśród budapeszteńskich handlarzy, wreszcie jakieś wielkie konsorcyum francuskie, posiadające tereny naftowe w Galicyi, chce podobno założyć także własną rafineryę i zorganizować na wielkie rozmiary export nafty do Francyi. Łatwo pojąć, jak wielki popłoch wywołują te projekty wśród przemysłowców naftowych. Gdyby nawet nie wszystkie, lecz tylko część ich została zrealizowana, to już obecny kartel naftowy musiałby się rozlecieć, bo już i te rafinerye, które istnieją, produkują więcej nafty, niż ludność monarchii jest w stanie spotrzebować i dlatego niedawno musiano okroić kontyngent wszystkim rafineryom kartelowym. Zresztą w statutach kartelu przewidziano, że jeżeli powstanie choćby tylko jedna nowa rafinerya, produkująca rocznie 20.000 centnarów metrycznych destylatu, to już tem samem kartel się rozwiązuje.

Z Pesztu donoszą, że jakkolwiek wniesione przez rząd węgierski przedłożenie inwestycyjne nie zostało jeszcze uchwalone przez sejm, wszelako mimo to p. Lukacs już tymi dniami nawiąże z bankami rokowania o sfinansowanie części projektowanej pożyczki. Powszechnie sądzą, że najdalej do dwóch tygodni wypuszczona zostanie na targ pewna partya węgierskiej renty inwestycyjnej.

§ **Wiedeń** 7 kwietnia. Walne zgromadzenie towarzystwa akcyjnego „Dynamit-Nobel“ uchwaliło rozdzielić pomiędzy akcyonaryuszy oprócz 5% dywidendy, jeszcze po 70 koron od akcyi superdywidendy.

Walne zgromadzenie Zakładu kredytowego uchwaliło rozdział dywidendy w wysokości 5% i 12 kor. od akcyi superdywidendy.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Wiedeń 7 kwietnia. Otwarcie międzynarodowej wystawy spirytusowo-przemysłowej odbędzie się tu d. 21 b. m. w obecności protektora jej arcyks. Franciska Ferdynanda. Pogłoska o odroczeniu prac przygotowawczych z powodu strejku robotników jest bezpodstawna.

Rzym 7 kwietnia. W kołach watykańskich zapewniają, że wiadomość o projekcie założenia w Berlinie nuncyatury papieskiej jest nieprawdziwa.

Ateny 7 kwietnia. Flota grecka udała się do Korfu, aby powitać cesarza Wilhelma. Gubernator Janiny otrzymał polecenie udania się na Korfu i wręczenia cesarzowi pozdrowienia od sułtana.

Rzym 7 kwietnia. *Tribuna* potwierdza wiadomość o zamierzonym w najbliższych dniach zjeździe ministrów Tittoniego i Gołuchowskiego w Abazyi.

To samo pismo donosi, że komendant żandarmeryi macedońskiej z ramienia mocarstw jen. de Giorgis i jego zagraniczni pomocnicy oficerowie wyjadą do Macedonii dnia 11 b. m.

Petersburg 7 kwietnia. *Finlandskaja Gazeta* donosi, że rozszerzono kompetencyę senatu finlandzkiego i jenerał-gubernatora w sprawie nabywania nieruchomości w Finlandyi przez obcych poddanych.

Chrystiania 7 kwietnia. Król Oskar nadał Cesarzowi Franciszkowi Józefowi order „Lwa norweskiego“.

Paryż 7 kwietnia. Francuski minister spraw zagranicznych Delcassé i poseł holenderski w Paryżu podpisali wczoraj traktat rozjemczy, podobny temu, jaki zawarły Francya, Anglia, chy i Hiszpania.

Cherbourg 7 kwietnia. Rosyjska dywizya okrętowa, złożona z pancernika „Osłablja“, krążownika „Aurora“ i trzech kontr-torpedowców, przybyła tu wczoraj.

Wiedeń 7 kwietnia. *Politische Correspondenz* donosi, że budżet Austro-węgierskiej marynarki wojennej na rok 1904 nie zawiera nowych wydatków inwestycyjnych. Zarząd marynarki nie domaga się kredytow na budowę nowych okrętów wojennych, ale zaznacza, że budowa sześciu nowych torpedowców jest konieczną i powinna być jak najrychlej przeprowadzoną zwłaszcza, że wydarzenia w toczącej się obecnie wojnie rosyjsko-japońskiej dowiodły, jaką wartość ma dobra flotylla torpedowców.

Wrocław 7 kwietnia. Wobec zamieszczonego w *Górnoszlązaku* oświadczenia, x. kardynał Kopp cofnął także drugie, wniesione przezeń do bytomskiego sądu krajowego oskarżenie przeciw *Górnoszlązakowi*, zwrócone przeciw redaktorowi Kowalczykowi, oraz polecił dotyczącym xiężom, aby cofnęli wnioski dodatkowe, jakie ze swej strony dołączyli byli do tego oskarżenia.

(Depesze popołudniowe).

Barcelona 7 kwietnia. W chwili, gdy król Alfons opuszczał wystawę, wybuchła petarda i zraniła dwóch włościan. Aresztowano pewnego człowieka podejrzanego o jej rzucenie.

Barcelona 7 kwietnia. Król Alfons, witany przez ludność, zwiedzał miasto, wziął udział w bankiecie, poczem odwiedził klub kupiecki. Wszędzie wznoszono na jego cześć okrzyki.

Wiedeń 7 kwietnia. Na ogólnych audyencyach u Cesarza był dziś ks. arcybiskup Bilczewski.

Wiedeń 7 kwietnia *Fremdenblatt* upoważniony jest z kompetentnej strony do oświadczenia, że pogłoska o zamiarze sułtana zamianowania jednego ze swoich synów wicekrólem lub gubernatorem trzech wilajetów macedońskich, w których mają być przeprowadzone reformy, — jest bezpodstawna.

Warszawa 7 kwietnia. Oberpolicmajster jenerał Lichaczew ustępuje, a urząd jego obejmie pułkownik von Nolken. Obowiązki oberpolicmajstra objął wczoraj radca kolegialny Seifart.

Łódź 7 kwietnia. Aresztowany tu sprawca zamachu na rodzinę Bulwów, Konstanty Drzazga, przyznał się do zamordowania małżonków Jenszów, Pauliny Szmitowej i Lei Braunowej. Z ofiar jego napadu na Bulwów żyją wszyscy.

Kraków 7 kwietnia. Do tutejszych władz wpływają nowe doniesienia przeciw adwokatowi Orłowskiemu. Mianowicie niejaka pani Natalia Gröble z Gracu wniosła skargę, że Orłowski wyłudził od niej książeczkę Kasy oszczędności na 5.000 koron, pod pozorem wyszukania dla jej syna posady w Wiedniu.

Kraków 7 kwietnia. Dziś ruch robotników do Prus jest znacznie mniejszy. Robotnicy jadą wprawdzie wszystkimi pociągami osobowymi, ale nadzwyczajny pociąg odszedł tylko jeden, podczas gdy wczoraj odeszło ich 7. Z Mysłowic donoszą, że wczoraj było tam zebranych przeszło 7.000 robotników, z których zaledwie część miała zapewnioną pracę.

Petersburg 7 kwietnia. Admirał Stark otrzymał order Włodzimierza II kl. z mieczami, kontradmirał ks. Uchtomski order Stanisława I kl z mieczami, kapitan Reitzenstein order Włodzimierza III kl.

Przyjechali dnia 7 kwietnia. Hr. Z. Tarnowski z Krakowa. Hr. M. Ledóchowski i K. Konopacki z Wołynia. Hr. J. Potocki z Rymanowa. Hr. A. Skarbek z Bienkowej Wiszni. J. Zieleniewski z Odessy. J. Wasserthal z Karlsbadu. Hr. B. Miączyński z Jaśniszcz. S. Reesci, J. Friedman, J. Graumann, W. Binder i S. Juer z Wiednia. K. Romański z Rusiatycz. A. Pongracz i O. Calm ze Lwowa.

Przyjechali dnia 7 kwietnia. H. Góralski z Bełza. S. Antonowicz ze Lwowa. G. Sieklucki z Koszyłowiec. K. Deutsch i J. Mandl z Wiednia. H. Hlawaty z Doliny. W. Ząbecki z Pobereża. F. Ozimkiewicz z Drohobycza. A. Henle z Frankfurtu. C. Francke z Londynu. Z. Krajewscy z Czech. H. br. Wattmanowie z Rudy rożanieckiej. J. Pogorski z Dublan. J. Dreziński z Brzeżan. B. Jarosiewicz z Tarnopola. J. Pribik z Odessy. T. Małecki z Koszlak. J. Ostrowicka z Niemirowa. Z. Dylski i E. Jordan z Krakowa. T. Lipski z Żabiego.

Przyjechali dnia 7 kwietnia. JE. A. Jaworski z Wiednia. M. Kańska z Hołotek. Z. Łobaczewski z Monasterzysk. O. Skarzyńska ze Szwejkowa. M. Jaworska z Ostrowczyka. S. Zawistowski z Supranówki. J. Ujejska z Denysowa. J. Hala ze Złoczowa. A. Aurich z Baryłówki. W. Popławski z Warszawy. M. Schlöffel z Cassel. S. Agopsowicz z Nowego miasta. Dr. W. Czaykowski z Przemyśla. J. Kasprowicz z Czerniowiec.

Wiedeń 7 kwietnia. (Giełda towarowa). Cukier 20.00 (stale). Sirytus 45·40—45·80. Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 7 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·35. Spirytus 00·00.

Paryż 7 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·10. — Mąka („Fleur de Paris“) 29·10.

Frankfurt 7 kwietnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 204·90. Koleje państwowe 000.00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 000·00. Laura 000·00.

Budapeszt 7 kwietnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 7·99—8·00, na maj 8·05—8·06, na październik 7·92—7·93; żyto na kwiecień 6·22—6·30, na październik 6·46—6·49; owies na kwiecień 5·25—5·26, na październik 5·50—5·51; kukurudza na maj 5·13—5·14, na lipiec 5·21—5·25. Rzepak na sierpień 11·00—11·10. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: ograniczona. — Usposobienie: słabe. Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 7 kwietnia.

Marki 117.22, renta majowa 99.75, węgierska renta koronowa 98·00, akcye: austr. zakł. kredyt. 638·00, węg. zakł. kred. 757·—, anglobanku 282·50, unionbanku 524.00, bankvereinu 522.00, länderbanku 424·50, kolei państw. 633.50, lombardy 80.75, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 000·00, tytoniowe 000.00, alpiny 407 50, Rima Muranyi 488.50, prag. Tow. żel. 0000·00, losy tureckie 125.50, ruble 252.75. Usposobienie: osłabione.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go października 1903 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.30 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.85, 5.06, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.30* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9·30*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Jaworowa: 8.20, 5.20.
Z Sambora: 7·35, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15, 10.55
Do Rzeszowa: 3.25.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9*—11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Jaworowa: 6.51, 3.50.
Do Sambora: 9·25, 8·40.
Do Żółkwi: 11·11* (tylko w niedziele).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

34)

Dama pikowa.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

Narzeczony Teresy przyłożył mu ją do ust, szepcząc głosem zdławionym:

— Oddaj ten portret, a nie to ci w łeb palnę.

— Ostrożnie, młodzieńcze — rzekł Piédouche chłodno — pokpisz sprawę.

Ta odpowiedź oblała, jakby strumieniem zimnej wody, gniew pana de Gentilly, spuścił też broń natychmiast.

— Pomyśl pan — przekładał mu jego towarzysz — nie jesteśmy już tutaj na drodze odludnej. Dajmy na to, że pan mi w łeb palniesz... Rozlegnie się wystrzał. Usłyszy go woźnica... ludzie się zbiegną... wpakują pana do aresztu, potem do więzienia i tak dalej... Portret zamordowanej kobiety nie polepszy pańskiej sprawy...

— Chciałem pana tylko przestraszyć — wybełkotał Ludwik. — To było wielkie głupstwo, przyznaję, ale też pan doprowadziłeś mnie do ostatniej pasyi.

— Uspokoisz się pan u komisarza. — Zobaczy pan, jak on się z nami szybko załatwi. To człowiek uprzejmy. Ludzie tworzą sobie błędne pojęcia o śledztwach, a gdy ich zakosztujemy, to widzimy, że to znowu nie takie straszne.

Młodzieniec nic nie odpowiadał na te słowa, wypowiadane takim tonem zachęcającym, jaki przybieramy zwykle, namawiając dziecko, by dało się zaprowadzić do dentysty.

Pan de Gentilly wsunął rewolwer do kieszeni, odwrócił się plecami do swego towarzysza i przez dalszą drogę milczał uporczywie.

Widocznie zgodził się już ze swoim losem i przygotowywał odpowiedzi, które miał udzielić komisarzowi.

Koń rączy, niepodobny wcale do zwykłych dorożkarskich, przebiegł kłusem ulice nadbrzeżne, wjechał na Pont-Neuf, potem skręcił na prawo i stanął przed jakimś podjazdem; po obu jego stronach stało po dwóch policyantów.

ROZDZIAŁ VIII.

— Przyjechaliśmy już, kochany panie — rzekł Piédouche, otwierając drzwiczki i wyskakując zwinnie.

— Mówiłeś mi pan, że jedziemy do komisarza — zawołał pan de Gentilly, który, będąc pogrążony w swoich myślach, nie patrzał na przebywaną drogę.

— To wszystko jedno, kochany panie — odparł uprzejmie Piédouche — jesteśmy w prefekturze policyi.

Młodzieniec wyjrzał przez okno, zobaczył sierżantów, ciemny kurytarz, wysokie gmachy i cofnął się w głąb karetki.

Nareszcie zrozumiał. Instynktownie rzucił się do drugich drzwiczek, chcąc uciekać. Ale stał już przy nich drab olbrzymi. Był nim Pigache, przebrany za dorożkarza.

— Pozwoli pan, że mu pomogę wysiąść — rzekł uprzejmie Piédouche.

Ucieczka była niemożliwa, a poza temi drzwiczkami czyhała hańba.

Narzeczony Teresy sięgnął do kieszeni.

— Niech się pan nie trudzi — rzekł agent, domyślając się jego zamiaru — wyjąłem panu rewolwer po drodze, widząc, że pan gotów zrobić jakie głupstwo. Gdybym był panu broń zostawił, w chwili tej byłbyś w krainie cieniów, a ja w kłopocie niemałym.

— A więc nie wolno mi nawet życia sobie odebrać? — szepnął Ludwik.

— Chodźmy, drogi panie, już tam na nas czekają — odpowiedział na to Piédouche słodziutkim głosem.

— Gdzie mnie pan zaprowadzisz?

— Do swojego szefa. Jest komisarzem policyi.. nie z mojego cyrkułu, ale mniejsza o to.

— Więc pan jesteś?...

— Agentem policyjnym... do usług pańskich.

— Nędzniku!

— Po co mi pan wymyślasz? Wszak mogłem był aresztować pana wobec jego narzeczonej, a nie zrobiłem tego.

Piédouche przechwalał się. Mimo bowiem obecności Pigache'a, nie zdołałby zabrać p. de Gentilly z domu, pełnego służby. A jeśli użył podstępu, nie siły, miał ku temu ważne powody.

Porwanie mordercy „damy pikowej“ było dla niego zwycięstwem takiej doniosłości, jak Austerlitz dla Napoleona i nie chciał się dzielić ani sławą, ani zyskami, które miały uwieńczyć ten tryumf. Bardzo mu więc na tem zależało, by przywieźć winowajcę do prefektury bez niczyjej innej pomocy, oprócz Pigache'a. Udało mu się to po myśli i był uszczęśliwiony.

Ludwik zdecydował się wyjść z dorożki, sierżanci dziwili się bardzo, widząc takiego eleganckiego młodzieńca, idącego pomiędzy dwoma agentami drogą, prowadzącą do policyi poprawczej, stamtąd do sądu przysięgłych, więzienia, Nowej Kaledonii lub na plac gilotyny.

Nieszczęśliwy zapanował już nad swem wzruszeniem i szedł z głową podniesioną butnie pomiędzy Piédouche'm i Pigache'm.

Dorożka, którą ci dwaj przyjaciele pożyczyli od znajomego, pozostała przed gmachem prefektury pod opieką żandarma.

Długiemi przejściami zaprowadzono Ludwika do przedpokoju, gdzie stało trzech woźnych, dwóch starych, jeden młody. Umeblowanie było bardzo skromne, składało się ze stołu i dwóch foteli. Piédouche przysunął jeden z nich p. de Gentilly.

Nieszczęśliwy młodzieniec usiadł w milczeniu.

Położenie jego było rozpaczliwe. Zrozumiał on, że opór na nic się nie zda, więc teraz obmyślał środki obrony.

Pigache nie usiadł na drugim fotelu, lecz stanął na warcie przy drzwiach, wychodzących na schody, chcąc zapobiedz możliwej ucieczce.

Piédouche zapytał woźnych, czy komisarz jest sam, a otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, wsunął się do poczekalni, a stamtąd do gabinetu szefa policyi. Ten obejrzał się, a zobaczywszy sprytnego agenta, zapytał:

— Nic nowego?

— Z przeproszeniem pana naczelnika jest nowina, i to wielka.

— Mówże prędzej. Nie mam czasu na stracenie.

Piédouche wyjął z kieszeni słynny pugilares i położył go na biurku, mówiąc:

— Oto nowina, nowina nielada, jakem uczciwy.

— Co takiego? — spytał szef, otwierając *corpus delicti*. — Bilety bankowe? Mój gabinet nie jest biurem do składania zagubionych przedmiotów.

— Niech pan naczelnik raczy zajrzeć głębiej.

— Dwa nazwiska, wypisane na kopercie: „Pan de Gentilly u pani Lecomte, bulwar Quatre Septembre, w Boulogne...“ Znam wprawdzie jednego de Gentilly, ale ten nie jest wmieszany do sprawy przy ulicy Arbalète... Nie chciał w nią palców maczać... Mówże jasno, zamiast mi dawać szarady do rozwiązania.

— Niech pan naczelnik spojrzy na fotografię...

— Tam do licha! Ależ to portret zamordowanej kobiety!

— Nieinaczej, panie naczelniku.

— Toś ty znalazł ten pugilares?

— W kieszeni jakiegoś Anglika, który został przytrzymanym w chwili, gdy okradał ciekawych, tłoczących się do trupiarni Morgi. Było to o trzeciej po południu.

— I dopiero teraz przybywasz z tem oznajmieniem! — zawołał szef, zrywając się z fotelu.— I nie przyprowadziłeś mi zaraz tego łotra?

— Jest zapewne w areszcie.

— Powinien być tutaj... poszlę natychmiast...

— Pan naczelnik nie dowie się nic ciekawego od tego rzezimieszka.

— Co to? Czyś oszalał, czy drwisz ze mnie?

— Zaraz panu naczelnikowi wytłómaczę. Ten złodziej wyciągnął pugilares z kieszeni pewnego młodzieńca, którego miałem już na oku w trupiarni.

— I pozwoliłeś mu się wymknąć. No, tym razem przebrałeś miarkę i oświadczam ci, że już do policyi nie należysz.

— Pozwoliłem mu się wymknąć, to prawda ale go odnalazłem — ciągnął dalej niestropiony agent. — Łatwo mi to przyszło. Jego nazwisko jest wypisane na tym skrawku papieru...

— Więc to ów p. de Gentilly.

— Tak, panie naczelniku. Przyznał się do tego pugilaresu, ale gdy mu pokazałem portret to mu się twarz wydłużyła o pół metra. Trzeba było widzieć tę minę!

— No, wreszcie mamy go w ręku, bo spodziewam się, że postawiłeś straż u jego drzwi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Emanuel Roiński

dr. praw i adwokat krajowy

po długiej a ciężkiej chorobie, usnął w Panu wieczorem dnia 6. kwietnia 1904 w 70-tym roku życia.

W sobotę dnia 9-go kwietnia o godzinie 10-tej rano nastąpi eksportacya zwłok z domu żałoby przy ul. Teatralnej, l. 1, do kościoła archikatedralnego, skąd po nabożeństwie i pokropieniu zwłok ruszy kondukt na cmentarz Łyczakowski.

Na smutne te obrzędy zaprasza rodzina krewnych, znajomych i pobożnych chrześcian.

Lwów, dnia 7. kwietnia 1904.

„CONCORDIA“ A. Karkowski, Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.

Alfred Elsner

centralny inspektor i zastępca Dyrektora c. k. kolei państwowych

urodz. w roku 1839, zmarł po długich i ciężkich cierpieniach, zaopatrzony św. Sakramentami, we środę dnia 6. kwietnia 1904 r., o godzinie 5 rano.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się w piątek dnia 8. kwietnia o godzinie 4-tej po południu z ulicy Kochanowskiego l. 64, na cmentarz Łyczakowski, na który w smutku pogrążona rodzina — krewnych, przyjaciół i pobożnych zaprasza.

Lwów, dnia 6 kwietnia 1904.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski, Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.

L. M. 27 807/904.
III.

Ogłoszenie licytacyi.

Celem oddania w przedsiębiorstwo wykonania budowy studni z ustawieniem na niej na postumencie statuy Matki Boskiej, ustawionej obecnie na studni przy pl. Maryackim, wedle projektu m. Urzędu budowniczego, rozpisuje niniejszem Magistrat ofertową licytacyę na piątek 15 kwietnia 1904 o godzinie 11-tej przed południem.

Chcący wziąć udział w powyższej licytacyi, winni wnieść w terminie licytacyjnym do III. Departamentu Magistratu oferty opieczętowane i ostemplowane, oraz dołączyć do oferty potwierdzenie na złożone w kasie miejskiej wadyum w wysokości 5% oferowanej ceny.

Bliższe warunki licytacyjne i plany szczegółowe przejrzeć można od 10 kwietnia 1904 r., w miejskim Urzędzie budowniczym (Ratusz III. piętro) w godzinach urzędowania.

Lwów, 1. kwietnia 1904.

Magistrat król. stoł. m. Lwowa.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.**

Papier z fabryki Czerlańskiej.

Z drukarni E. Winiarza.